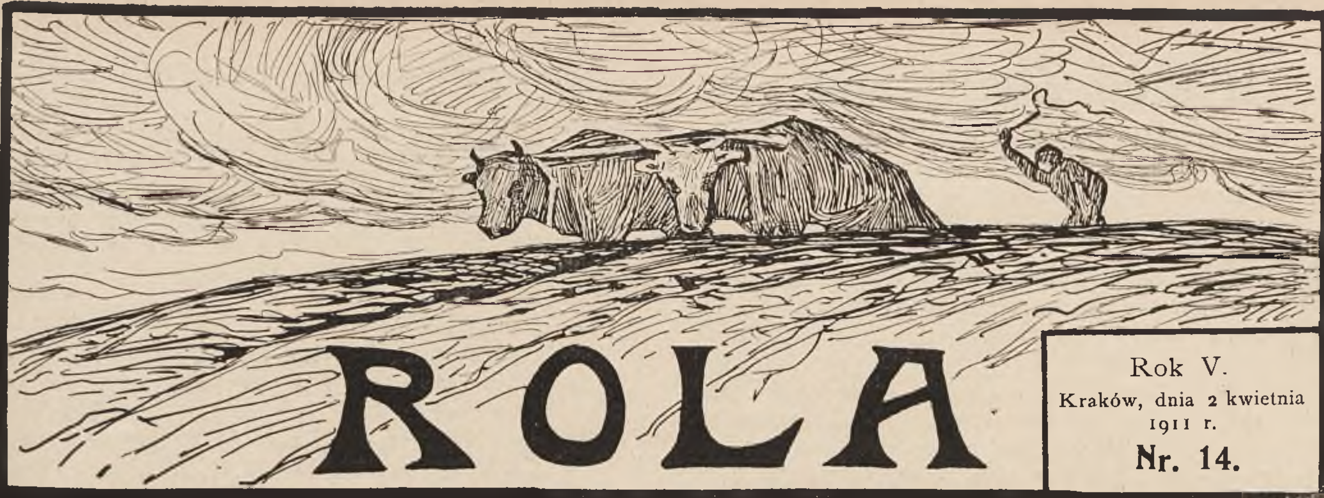


TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Krzyż i ukrzyżowanie.

Komuż nie jest znany krzyż — ten znak zbawienia i odkupienia ludzkiego? Znamy wszyscy to godło zbawienia naszego, ale nie wszyscy dobrze wiedzą o miejscu, czasie ukrzyżowania, o krzyżu samym, oraz o tem, w jaki sposób przybito Chrystusa Pana do krzyża. Dlatego chcemy dziś Czytelnikom o tem słów parę napisać, które odczytają zapewne z ciekawością.

Otóż miejscem ukrzyżowania było wzgórze Golgota, położone za murami miasta Jerozolimy. Golgota jest to wyraz syryjsko-chaldejski, a znaczy dosłownie: »miejsce czaszek« (calvaria). Tam karano śmiercią wszystkich skazanych na nią.

Pana Jezusa ukrzyżowano w dniu 25 marca. — Co do godziny ukrzyżowania zachodzą pewne wątpliwości, ale tylko pozornie; w ewangelii ś. Marka czytamy: »Była godzina trzecia i ukrzyżowali Go«, zaś św. Jan mówi: »Było o godzinie szóstej«. Sprzeczność tę można jednak łatwo wytłómaczyć, gdyż żydzi dzień dzielili na okresy czasu trzygodzinne, a więc co się stało między godziną trzecią a szóstą, to nie oznaczali tego, jakoby to było o czwartej, pół do piątej lub o piątej, lecz oznaczali okres czasu t. j. o trzeciej lub szóstej. Godziny te były głównemi, bo w nich, a nadto o dziewiątej odmawiali żydzi modlitwy swoje. Ukrzyżowanie nastąpiło więc po modlitwach o trzeciej godzinie a przed modlitwami o szóstej godzinie. Ponieważ jednak godziny te nie przypadały o tej samej porze dnia, co obecnie, więc, jak udowadniają święci mężowie, ukrzyżowanie nastąpiło według naszej rachuby w południe, a sama śmierć w trzy godziny potem.

Różne były kształty krzyżów, jakich wówczas używano. Zwyczajny krzyż był to pionowy kawał drzewa, częstokroć u góry zaostrzony. Skazani byli na nim wieszani, albo do niego przybijani gwoździami, albo też przebijani palami. Drugi rodzaj krzyżów był robiony z dwóch palów w kształcie rzymskiej dziesiątki (X); zaś trzeci zwany »patibulum«, był to pal w formie wideł, lub dużej litery »Y«. Wreszcie używano krzyżów z dwóch belek, takich, na jakim umarł Pan Jezus.

Z jakiego drzewa był krzyż Chrystusów zrobiony, o tem są sprzeczne sądy. Niektórzy utrzymują, że każde ramię krzyża było z innego drzewa, a mianowicie: z palmy, cedru, cyprysu i drzewa oliwnego. Twierdzenie to zdaje się jest mylne. Za prawdziwsze należy uważać zdanie innych, którzy mówią, że krzyż był dębowy, bo nawet podobno badacze rozpoznają w szczątkach Krzyża św. dębinę.

Zauważyliście zapewne dobrze, że obecnie wszędzie malują Pana Jezusa przybitego do krzyża trzema gwoździami. Jest to jednak błędne, bo jak wynika ze starych obrazów, to Chrystus przybity był nie trzema, ale czterema gwoździami.

Podanie stare mówi, że Karolowi Wielkiemu anioł przyniósł obraz Ukrzyżowanego Pana Jezusa. Obraz ten przechowano w zakonie Augustynów w Burgos. Otóż na tym obrazie Pan Jezus był namalowany na krzyżu jako przybity czterema gwoździami.

Także stara moneta złota w dawnym zakonie Benedyktynów w Liesse wykazuje cztery gwoździe.

Gdzie są gwoździe, którymi przybito do krzyża, obecnie nie wiadomo, gdyż aż dwadzieścia pięć miejscowości przyznaje się do ich posiadania, podczas gdy gwoździ tych było tylko cztery. Zdaje się, że większa część tych gwoździ jest tylko przez to uświęcona, iż trzymano je razem z gwoździami, któremi Pana Jezusa do krzyża przybito.

Ogólnie przypuszczają, że Zbawiciel Ukrzyżowany miał twarz zwróconą ku zachodowi. Stąd też pochodził dawny zwyczaj modlenia się w kierunku ku wschodowi. Wystąpili jednak przeciw temu św. Augustyn i św. Leon Wielki, pouczając, że modlitwa, w którąkolwiekby stronę modlący się miał twarz zwróconą, jest zawsze jednakowo miłą Bogu, byle ona była tylko szczerą i z głębi serca płynącą.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

---

10. Rzymska uczta.

Pałac po tej stronie rzeki, nawprost Simonidesowego domostwa, wzniesiony był przez słynnego budowniczego Epifanesa. Opasujący go mur miał bronić przystępu falom i nieprzyjacielowi zarówno. Ilekroć ważna jaka osobistość, konsul, dowódca armii lub nawet król, odwiedzał Antyochię, wyznaczono mu zawsze pomieszkanie w nowym pałacu. I teraz także mieścił on całą świtę konsula Maksentiusa, który-także miał się tu po przybyciu zatrzymać.

Pozwól, czytelniku, wprowadzić się do jednej z obszernych komnat tego gmachu.

Sala ta ogromnych rozmiarów, miała posadzkę układaną z różnokolorowego marmuru, sufit podtrzymywały posągi, postawione w kilka rzędów, co tworzyło jakby wiele komnat w jednej. Wzdłuż ścian ustawione były sofy, pokryte cienkim, indyjskim je dwabiem. Resztę umeblowania stanowiły stoliki i stołki o kształtach dziwacznych, w stylu starożytnego Egiptu. Od pułapu na bronzowych łańcuchach zwieszało się pięć takichże świeczników. Oświetlały one tak jasno całą komnatę, jakby dzień biały był na dworze.

Naokoło tych stołów i na tych sofach siedziało, kręciło się i leżało z jakie sto osób. Wszystko to byli ludzie młodzi, wielu z nich nawet nie przekroczyło wieku chłopięcego. Mówili językiem łacińskim; szaty ich były krótkie, bez rękawów, tuniki, sięgające zaledwie do kolan; strój ten, wielce wygodny, nadawał się zwłaszcza do klimatu Antyochii.

Komnata pełna jest wrzawy; od czasu do czasu wśród wybuchów wrzawy i przekleństw rozlega się grzechot kości do gry. Towarzystwo zabawia się ulubioną grą rzymskiej młodzieży.

Młodzieńcy ci, jak i reszta ich towarzyszy, należeli do wojskowej świty konsula i, czekając jego przyjazdu, przepędzali czas na grze i hulankach.

Właśnie w tej chwili wchodziła do komnaty nowa kompania, zmierzając do środkowego stołu. Wracali widocznie z obfitych pijatyk, gdyż wielu z nich nie mogło już utrzymać się na nogach. Na czele szedł młodzieniec z wieńcem na skroniach, na znak, iż on wydawał ucztę. Wino pozostawiło na nim ten tylko ślad, iż podniosło niepospolitą jego urodę. Szedł dumnie, ze wzniesioną głową, jak gdyby był samym cezarem. Mało dbając, czy potrąca kogo na drodze, torował ją dla siebie i swoich towarzyszów.

Wszyscy zresztą ustępowali mu z pewnem poszanowaniem. Messala! Messala! wołano radośnie.

Ci, co siedząc daleko, nie mogli go widzieć, odpowiadali na ten okrzyk, jakby na hasło. Otaczano tłumnie nowo przybyłego towarzysza. Messala przyjmował z wielką dumą te oznaki popularności.

Zaczęli rzucać kości.

Opodal młodzieniaszek jakiś przypatrywał się grze z wielką uwagą.

— Coś za jeden? — spytał go Messala.

Młodzieniec cofnął się.

— Nie, na Jowisza! Nie chciałem cię obrazić! Jest w zwyczaju pomiędzy ludźmi prowadzić tem ściślejsze rachunki, im sprawa mniej tego warta. — Potrzebuję sekretarza. Nie odmówisz mi może swoich usług?

Młodzieniec z wielkim pośpiechem wyjął swe tabliczki.

— Chwilkę jeszcze mój Messalo! — zawołał młody hulaka Drusus. — Panuje wprawdzie przesąd, że nie należy przerywać gry rozmową, lecz choćby Fortuna miała mnie przez to odbiegnąć, muszę ci zadać jedno pytanie. Powiedz mi, czy widziałeś też kiedy niejakiego Quintusa Arriusa?

— Duumwira?

— Nie, syna jego.

— Sądziłem, że Arrius był bezdzietny.

— Tak; mówię też o przybranym jego synu. Otóż Kastor nie mógł być bardziej podobnym do Poluksa, jak ty jesteś do owego Arriusa.

— Prawda, prawda! — wołano. — To jego oczy, jego twarz!

— Cóż znowu? — odezwał się ktoś ze wzgardą. — Messala jest Rzymianinem, Arrius musi być Żydem!

— Masz słuszność — zawołał drugi — widać to po nim zaraz.

Wszczynała się już sprzeczka, co widząc i chcąc ją odwrócić, Messala rzekł do Drususa.

— Nie przynoszą nam jeszcze wina. Dla zabicia czasu, opowiedz co o tym młodzieńcu. Ciekawy jestem mojego sobowtóra.

— Rzymianin czy Żyd, mniejsza o to w tym razie, dość, że w podobieństwie tem niema nic dla ciebie uwłaczającego. Arrius piękny jest, rozumny i odważny. Mógł stać się ulubieńcem cezara, ale odrzucił hardo tę propozycyę. Co on jest właściwie za jeden, nikt nie wie. Zjawił się wśród nas w sposób tajemniczy i odtąd trzyma się zawsze zdala od ludzi, ma się widocznie za lepszego od nich; ha! lub może za gorszego. W gimnazyach i szkołach broni był niezrównanym zapaśnikiem. Niebieskookie olbrzymy z Niemiec i sarmackie bezrogie bawoły w ręku jego były jako wiotka trzcina. Młodzieniec ten ma w sobie wojowniczego ducha, to też w nadziei utarczki z Partami, wstąpił do obozu Maxentiusa. Miał nawet wsiąść z nami na jeden okręt, lecz straciliśmy go z oczu w Rawennie. Wiem jednak, że przybył tu zdrowo i cało, lecz zamiast stanąć w tym pałacu, kazał zanieść swe pakunki do »khanu«. Odtąd znikł gdzieś bez śladu.

Messala słuchał z początku opowiadania tego jedynie przez grzeczność, lecz w miarę, jak Drusus mówił, zaciekawienie jego wzrastało.

— Czy słyszysz? — rzekł, zwracając się do stojącego przy nim młodzieńca, Mirtylusa, towarzysza w codziennych ćwiczeniach na arenie.

— Gdybym nie słyszał, nie byłbym twoim przyjacielem — odparł tenże, wielce uradowany, iż Messala raczy z nim rozmawiać.

— Przypominasz sobie zapewne młodzieńca, co wyrzucił cię dziś z rydwanu, jak worek plewy.

— Na Bachusa! pamięci mojej tym razem przychodzi w pomoc zgnieciona ręka i ta przypomina mi to dotkliwie.

I mówiąc te słowa, pocierał ją z nawpół pocieszną, nawpół strapioną miną.

— A więc dziękuj swym losom! Odkryłem nieprzyjaciela. Mówże nam jak najwięcej — rzekł do Drususa — o tym, co jest Żydem i Rzymianinem w jednej osobie. Jakże on się nosi, mój Drususie?

— Po żydowsku.

— Słuchaj — rzekł Messala, zwracając się znowu do Mirtylusa. — Jest on młody, to raz; ma oblicze Rzymianina, to dwa; ubiera się jak Izraelita, to trzy; umie walczyć z atletami, ba! wywraca rydwany nietylko w cyrku, to cztery. No, Drususie, jakież on tam ma jeszcze przymioty? Musi chyba władać

kilkoma językami, inaczej nie mógłby się tak prze istaczać, dziś w Żyda, jutro w Rzymianina. A mowa Ateńczyków,*) czy nie jest mu także obcą?

— Wyraża się nią tak czysto i biegle, że mógłby występować w tragedyi Aischylosa.

— Uważaj Cajusie, młodzieniec umie nawet pozdrawiać damę w języku greckim — wciągam to pod numer piąty. Cóż dalej? Wspomniałeś o jakiejś tajemnicy, co jak mgła otacza owego cudownego Arriusa. Opowiedzże ją nam coprędzej.

— Ha! jeśli chcecie, owszem. Otóż powiadają, że gdy Arrius, ojciec, wyruszył na wyprawę przeciwko korsarzom greckim, nie miał żony ani dzieci, powrócił jednak z jakimś chłopcem, tym oto właśnie, o którym mowa, i dnia następnego adoptował go.

— Jakto? adoptował? — zawołał Messala. — Na Bachusa! Coraz więcej mnie zaciekawiasz. Gdzież duumwir zrobił ten cenny nabytek? I cóż to był za chłopiec?

— Na to odpowiedzieć ci może chyba tylko on sam. Duumwir wówczas był jeszcze trybunem, stracił w bitwie galerę. Z całej załogi ocalało tylko dwoje ludzi, on i ten młodzieniec. Płynęli na jednej desce ku niewątpliwej śmierci, gdy okręt rzymski dojrzał ich i wciągnął obu na pokład. Arrius miał na sobie zbroję trybuna, tamten nosił płachty galernika.

— Galernik! ha! więc to galernik! — zawołał Messala, zrywając się od stołu.

Był bardzo wzburzony.

Lecz w chwili tej właśnie służba wnosiła przedziwne owoce i wino w srebrnych dzbanach.

Na widok ten oblicze Rzymianina rozchmurzyło się natychmiast; zapomniał o zaciekawiającej go tak bardzo opowieści i wskazując na stół, zawołał wesoło.

— Ludzie z nad Tybru! Czy nie moglibyśmy oczekiwać naszego wodza przy wesołym bankiecie? Przyprowadziłem tu ze sobą kilku przyjaciół. Wstali oni tylko co od stołu. Niech uczta nasza zaczyna się według starego obyczaju. Na którymże z nich sok winnej macicy najwidoczniej wycisnął swe piętno? Którego z nich zmógł najbardziej słodki sok winny? Wyszukajcie i przynieście mi go tutaj!

— Oto jest! oto jest! — zawołali, podnosząc z ziemi młodzieńca tak cudnej urody, że można go było wziąć za samego bożka pijaków.

— Posadźcie go na stole! — rozkazał Messala.

Lecz on siedzieć nie mógł. Podtrzymano go. Wśród uroczystego milczenia Messala zabrał głos.

— O! Bachusie!*) — zawołał — o największy z bogów, obyś nam był przychylny tej nocy! A teraz w górę puhary! Niech żyją: wino i kobiety!

Komnata zagrzmiała od śmiechu i oklasków, nawet posągi zdawały się wstrząsać na swych podstawach.

Zaczynała się orgia.

---

*) Ateny, stolica Grecyi.
*) Bożek pijaństwa

(Ciąg dalszy nastąpi).

U STÓP KRZYŻA!



Czerp pociechę u stóp krzyża,
Jak do szczęścia idź ostoi:
On do ciebie niebo zbliża
I twe smutki On ukoi!

Pochyl głowę skołataną,
Wymów wszystko, co cię boli...
Prośba będzie wysłuchaną:
On pocieszy cię w niedoli!...

Ant. St. Bassara.

GAWĘDY O RÓŻNYCH SPRAWACH.

WYMOWEK.

Niema w kraju człowieka, któryby nie wiedział co to jest wymowek. Niema prawie wiejskiej rodziny, w którejby dziad, ojciec lub jaki podeszły w latach krewny nie miał kiedy wymowku t. j. prawa utrzymania lub mieszkania na oddanym synowi, wnukowi lub krewnemu gruncie, czy chacie. U nas w Galicyi wymowek jest tak rozpowszechniony, że nawet przynosi wielkie szkody dla gospodarstwa i kraju. Nie dlatego, żeby wymowek był sam przez się złym, lecz dlatego, że wiele razy jest niepotrzebnym. Trudno, kiedy stary ojciec, wieśniak, nie mogąc już pracować, powie synowi: Słuchaj Jasiek, już zda mi się siódmy mi krzyżyk na karku wnet będzie ciężył, nogi się podemną trzęsą a ręce nijak styliska nie mogą utrzymać, oddaję ci ten grunt, pracuj na nim i weź go sobie, ale pod warunkiem, że dopóki mnie na tym świecie, będę miał z niego życie i mieszkanie. I następnie idą do notaryusza, ojciec oddaje synowi na własność grunt, zastrzegając sobie wymowek.

Taki wymowek jest dobry i sprawiedliwy, ale gorszy jest jeżeli np. 50-letni gospodarz, jeszcze silny i zdrów, oddaje dzieciom grunt i chałupę i obciąża go wymowkiem tylko na to, aby sobie dalej żyć bez pracy, chodzić z kąta w kąt, pykać fajkę i brodę po kluskach obcierać. Na tem traci nietylko jego rodzina, ale i kraj. Dlatego traci na tem majątek rodziny, bo gdyby taki 50-letni, zdrowy gospodarz pracował jeszcze na roli, to, gdy jest większe gospodarstwo, syn nie potrzebowałby donajmywać obcych ludzi na robotę, albo, gdy gospodarstwo jest małe, to ojciec z rodziną samby mógł wystarczyć, a syn albo poszedłby na zarobek, albo inaczejby pracował i cała rodzina miałaby się lepiej. Kraj zaś na tem zyskuje, gdy wszystkie ręce są zatrudnione i przychodzą do majątku i nie są niepotrzebnie ciężarem dla innych, bo np. im wieśniacy będą pracowitsi, sprytniejsi, więcej pomysłowi i oszczędniejsi, tem i kraj będzie bogatszy i silniejszy, tak jak w rodzinie im więcej pracowitych, energicznych synów i córek, tem lepiej w domu. Niestety takich wymowków u nas jest bardzo wiele, daleko więcej niżeli w innych krajach. Prawnicy obradują, aby je w jakiś sposób ograniczyć na przyszłość i uwolnić w części od tych ciężarów przyszłych właścieli.

Wymowki zresztą w najbliższych latach będą mniej liczne a to z następującego powodu. Niezadługo ma wejść w życie przymusowe ubezpieczenie wszystkich niezamożnych osób na starość. Włościanie mają także temu obowiązkowi ubezpieczenia podlegać, będą więc pobierać rentę w pieniądzach od państwa. Każdy włościanin jak i robotnik będzie już od młodych lat musiał płacić stosunkowo skromne raty asekuracyjne, a ponieważ z tych rat i tak urosłaby niewystarczająca suma, więc państwo z własnej kieszeni będzie musiało grube miliony dopłacać, aby później na starość wieśniak czy robotnik niedołężny do pracy mógł pobierać jaką taką rentę. Przy tej sposobności może państwo wyda jaką ustawę, która będzie regulowała wymowki i zapewne je ograniczy, gdyż często się zdarzy, że wieśniak będzie miał i rentę od państwa i wymowek.

Wogóle od kilku lat w naszym kraju i w państwie austryackiem więcej się zaczynają interesować włościaństwem niż dawniej. Chcą żeby lepiej się miał i żeby po długich latach ciężkiej pracy miał jekie takie schronienie nad głową i utrzymanie. Niestety nasz kraj jest biedny, wieśniaków biednych jest bardzo dużo, więc trudniej tu praca idzie.

KRZYŻ.

Szedł raz pielgrzym przez kraj nieznany. Droga wiodła przez odwieczny las. A mrok już zapadł i mało deptana ścieżka znikła z oczu. Zdala z ciężkim grzmotem burza nadciągała. Wreszcie ciemność straszna przejęła ziemię. Ulewa, grzmoty, błyskawice, burza szalała na dobre. Biedny pielgrzym ostatka sił dobywał, by schronienia gdzie jakiego do paść. Ale w ciemności rozdzieranej oślepiającemi błyskawicami drogę już zupełnie stracił. Coraz większe znużenie poczęło obejmować wysilone członki — już ostaniego tchu dobywał, by tylko iść dalej; osłabł zupełnie — iść nie mógł. Śmierć mu w tym gąszczu leśnym pisana! Topiel go zaleje lub grom spali — bo burza huczy coraz większym szałem, a strugi deszczu potokami z góry na ziemię lecą. Śmierć mu pisana!

Kroplisty pot oblał mu czoło... Ostatni wysiłek, ostatni krok jeszcze...

Potknął się o jakieś drzewo ciosane i upadł.

Znużonego sen zaraz owładnął. I choć burza dalej szalała, grom huczał, a potoki deszczu zalewały ziemię, na której leżał — on spał. A sen jego był taki dziwnie słodki, taki przyjemny; choć leżał w głuchej puszczy pośród rozszalałej burzy, w jawnem obliczu śmierci, pod jakiemś ciosanem drzewem, o które potrącony upadł.

Spał długo. A błogie uczucie we śnie przejęło duszę pielgrzyma.

Nastał ranek. Pielgrzym się przebudził — i roztwarł zdziwione oczy; nie wiedział gdzie jest, gdzie był, co się z nim działo. Burzy już nie było — gdzieś daleko się przewaliła. Słońce świeciło! Złotemi blaski przedzierało się przez gałęzie drzew, woń kwiatów i lasu przesycała powietrze, ptaszęta cudnie śpiewały...

Przetarł senne oczy i obejrzał się dokoła.

Zerwał się nagle zdumiony.

Leżał pod krzyżem!

To drzewo ciosane, co się wczoraj o nie potknął — to był krzyż!

Spał pod krzyżem. Krzyż mu był wśród burzliwej nocy schroniskiem. U stóp krzyża spał tak słodko — i tak mile się przebudził!

Ukląkł, krzyż objął i święte drzewo rzewnie ucałował.

. . . .

Tym wędrownym pielgrzymem — to chrześcijanin, co Boga miłuje. Ów ciemny las — to świat, pełen zwodniczych ponęt. Grzmoty, błyskawice i ta burza szalona — to dni człowieczego życia; to te ziemskie utrapienia nasze; to te niedole, co nad nami, jak te czarne chmurzyska wciąż wiszą!

Szczęśliwy ten, kto w tem pielgrzymowaniu życia o krzyż się potknie. Szczęśliwy, jeśli z krzyżem w objęciach żywota dokona.

Bo choć nędzą sponiewierany, pracą wycieńczony, ciągłem płakaniem znużony — legnie, to błogo i radośnie u stóp krzyża, jak ów pielgrzym się zbudzi.

Już nie po to, aby ten krzyż dźwigać, ale, by przez ten krzyż być podźwigniętym i tam wyniesionym, gdzie już niema ani nędzy, ani poniewierki, ani tej krwawicy w niewdzięcznej pracy, ani płakania, ani boleści — ale pełnia szczęścia, nieśmiertelne wywyższenie i radość i błogość nadziemska — wieczne oglądanie Boga.

Ks. Władysław Staich.



Pory roku.

Sen długi, ciężki, mroźny, prawie śmiertelny.... Zawiał wietrzyk ciepluchny od gór południa, słońce dłuższy kres drogi opisało na niebie. Sen zniknął z powiek królowej, zamroź stopniała pod ożywczemi promieńmi słońca. Budzi się królowa w tym wielkim gmachu świata i wyziera szybą tarczy słońca na niezmierzone obszary swego królestwa i dziwi się, że tak długo spała. Spała ona, spał dwór cały. Z chmurką na czole królowa tupnęła drobną nóżką o posady ziemi. Wiatr zawył, zakłębiło się w powietrzu, ryknęły chmury, uderzyły gromy, oślepiając światłem łyskawic wszystko, co żyło.

To znak, że królowa Wiosna rozpoczęła znowu panowanie. I jak z czary natchnienia rozsypała obficie po wszystkich prawie kątach ziemi swej urody wdzięki, by przystroić swe królestwo.

I oto cud... Niezliczone miliony tęczobarwnych kwiatów i zieleni umaiły ziemię, a wonie rozkoszne otoczyły czarodziejską atmosferą kulę świata. To dary królowej Wiosny.

Lecz kapryśna królowa Wiosna pędzi na wiatronogich rumakach, tylko się miga, a jej wyborna skrzydlata orkiestra dodaje taktu krążeniu ziemi.

Słońce, synek królowej Wiosny, gorącą miłością wiedziony za matką, dzielnie pomaga zawiązkom kwiatowym u progu Lata, by owoc wydały. Urocza królowa cieszy się i oddaje swe rządy drugiemu synowi Lato, by owoc wykształciło na użytek poddanych. Lato bierze seryo pracę wyznaczoną przez królowę-matkę, ale radeby także jej towarzyszyć, więc przyspiesza szybkie dojrzewanie owoców. Słońce, najstarszy syn Wiosny, już znużone — później wstaje a wcześniej kładzie się na spoczynek.

Czuje królowa Wiosna, że energia synów się zmniejsza, więc żąda zestawienia rachunku z przychodów, a następnie rozdzielenia plonów ze swej olbrzymiej gospodarki pomiędzy poddanych ziemi. — Czynność tę obejmuje jej średnia córka, księżniczka Jesień.

Wszyscy się cisną do tej ukochanej księżniczki, a ona rozdaje dary za darami. Już rozdała prawie wszystkie skarby swej matki Wiosny i owoce braci Słońca i Lata.

Królowa Wiosna, obawiając się, by szczodra córka nie rozdała całego królestwa, oddaje zamknięcie wszelkich wypłat najmłodszej córce Zimie.

Zżyma się ze złości księżniczka Zima i szeroko roztwiera swe iskrzące mrozem oczy. Zamyka wszelkie spichrze z gniewu, że szczodra Jesień wzbogaciła ludzi, wiedząc, że jej ujdzie to bezkarnie, ponieważ królowa-matka po tylu trudach spoczywa snem twardym. Zabija więc wszystko swym mroźnym oddechem, bo to księżna niszczycielka. Wyrzeka na niewdzięczność i lenistwo rodu ludzkiego i batoży mroźnym wichrem i chmurami śniegu.

Jęknęły z bólu i głodu serca starców i dzieci, co nie zdążyli otrzymać darów Jesieni, na nielitościwą księżniczkę Zimę, w której piersiach serce z lodu.

Michał Mikoś.

PÓJDŹCIE ZA MNĄ WSZYSCY!



— »Pójdźcie za mną wszyscy uciśnieni, którzy łakniecie prawdy i sprawiedliwości!« Oto słowa, które zdaje się wypowiadać Zbawca nasz na każdem miejscu.

A więc ty, starcze, który stoisz nad grobem i lada chwila zamkniesz swe strudzone powieki, idź za Zbawcą twoim tam, gdzie zgotowane dla nas szczęście i wesele wieczne. Idź mężu i niewiasto, wy, którzy w pełni sił i życia jesteście, idźcie za Chrystusem, a On was poprowadzi na drogę szczęśliwości prawdziwej. Idź młodzieńcze, idź i ty dziewczyno za Tym, który jest weselem samem. I wy, dzieci małe, kierujcie kroki swoje w stronę, w którą Jezus was wzywa.

Wszyscy, czy to bogaci jesteście, czy ubodzy, gdy was kiedykolwiek smutek i udręczenie spotkają, idźcie za Tym, który jest prawdą i sprawiedliwością!...

Patrzcie! Jezus jest zawsze pośród was i dłonią swą Najświętszą wskazuje wam drogę, którą kroczyć macie. Patrzcie! U stóp Jezusa mnóstwo ludu różnego. Oto starzec posiwiały w borykaniu się z losem, przy schyłku życia swego zobaczył cel, do jakiego dążyć mu należy. Zwrócił wzrok swój ku Zbawcy i błaga nim o litość i miłosierdzie. Błaga i widzi, że tam, gdzie Jezus prowadzi, niema smutków i boleści.

Obok starca mężowie w sile wieku. Oto jeden z nich padł na kolana, a wyciągnąwszy dłonie swe, błaga o zmiłowanie i pocieszenie. A zaś drugi zacisnął dłonie swe w pięści i przygniata nimi pierś swą zbolałą, aby ona mu nie pękła z wielkiej rozpaczy i boleści. Skarga żałosna i jęk serdeczny płynie z ust jego z prośbą o zlitowanie i ukojenie... A dalej trzeci mąż. W tego wzroku dusza cała się mieści — dusza przepełniona korną modlitwą. A Pan Jezus zdaje się mówić: »Pójdźcie za mną wszyscy uciśnieni, którzy łakniecie prawdy i sprawiedliwości!« Nie pozostajcie nieczułymi na me wezwania, bo was do szczęścia powiodę.

A dalej — poza mężczyznami — klęczy dziewica. Twarzyczka jej tak miła i niewinna, a jednak jakimś smutkiem przepełniona. Trudno z twarzy tej wyczytać, jaka boleść ją gniecie, ale boleść to musi być straszna, bo w dłonie swe białe ujęła pałające lica i czeka pociechy i ukojenia, bez którego nikt od stóp Zbawcy nie odchodzi.

A na ostatku, z podniesionemi ramionami ku górze, stoi inna dziewica. Zdaje się, że przyszła ostatnia, a mimo to błaganie jej zostało już wysłuchane, bo z twarzy jej bije wdzięczność ogromna i zachwyt niezmierny.

Oprócz tych, których okiem widzimy przy Zbawcy, całe miliony wyciągają swe dłonie i proszą o prawdę i sprawiedliwość. A Jezus, ręką jedną wskazując niebo, drugą przyzywa ku sobie wszystkich uciśnionych i nieszczęśliwych, zapraszając ich tam, gdzie nieznane są boleść i rozpacz.

Szczęśliw ten, o szczęśliw na wieki, kto za głosem Pana nad pany bez oporu idzie; szczęśliw ten, kto nie słucha nieprzyjaciół Boga, ale wierzy Kościołowi i w myśl jego nauk postępując, gotuje sobie szczęśliwość wiekuistą. A więc idźmy za Panem, nie zważając na głosy nieprzyjaciół Boga, którzy błotem obrzucają, co wielkie i święte, którzy chcą nam wyrwać wiarę z sercu, a natomiast dać w rękę czerwony sztandar, za którym ukrywają się sługi szatana i nieprzyjaciele Chrystusa Pana, Zbawcy naszego.

Wojtek Ewangelista.

(Wesołe opowiadanie ludowe).

Wojtek Kapusta był ogromnie częstym gościem na Galasówce, w najlepsej karcmie w nasy wsi, w który synkował Mojsiek Josielowic, (bo juz teraz nie synkuje). U niego kuzden chłop więcej gorzałki wypił, zanim się opił, a drozej nie zapłacił, jak w innej karcmie. A jesce wedle tego był z niego zyd dobry, bo lubił ogromnie krzyzyki. Jak ino na wekslu chłop napisał, to mu i bez pinięndzy gorzołki doł. To tez i nas Wojtek kuzdego wiecora go odwidzoł, no i w porządku popijoł, a w niedziele to po największej ęści tam sumę odprawiał. Ale Magda, jego baba, jak ino spenetrowała, ze Wojtek tam na sumę chodzi, dała mu taką porcyję razów styliskiem od miotły, ze od środy lezoł do soboty, to jest przez trzy dni, a w niedzielę musioł iść na sumę i od tego casu musioł na sumę chodzić, a jesce zawse lo pewności kazowała mu Magda zawse opowiadać, jaka dziś była ewangelia.

Raz, idąc do kościoła, spotkał się ze swoim kompanem z Mośkowej karcmy.

— A, Wojtek! dobze, ze się spotykamy! Juzem cię dawno nie widzioł u Mośka w niedzielę do południa, kadyz ty teraz bywas? — pyta się Wojtka.

Wojtkowi to ta nie w smak było przyznawać się do tego wszyćkiego, ale ze to był jego najlepsy kolega, tak mu tez wszyćko opowiedzioł.

— Wojtek — gada tamten — aleś ty głupi, dyć przecie Magda nie chodzi na sumę, to przecie ni moze wiedzieć, jaka była dzisiaj ewangelia! Nagadaj ji byle co i basta, a my pójdziemy do Mośka.

Wojtek niewiela pomyślawsy, dał się namówić i posed do Mośka na sumę. A kiedy juz ludzie śli z kościoła, to tez i nas Wojtek zebrał się i idzie do chałupy, a po drodze rozmyśla nad tom ewangeliom.

— O! — mruknął — nie tak ci to łatwo ewangelię układać, jak się to komu zdaje.

Naroz jaz się roześmioł na cały głos.

— Juz mam gotowom! Co tez na to powie Magda? — i uradowany wloz do chałupy. Magda, poźrawsy na Wojtka, pyta się go:

— A coś ty Wojtek dzisiaj taki wesoły?

— Ano, bo widzis, Magduś, ogromniem rod z dzisiejsy ewangelii — powiado Wojtek.

— A o cymze było? — pyta rozciekawiona Magda.

— Ano o tem, jak to Poniezus przemienił w Kanie Galicyjskiej wodę na gorzałkę. Tak tez wsyscy pili jaz do wiecora. Jak się juz ćmiło powiada Poniezus do świętego Pietra: »No, Pietrze, zabierajmy się, zebyśmy jesce za widoku zaśli do nieba«. To tez się zabrali i pośli. Prześli scęśliwie przez granice rosyjskom, bo widzis, tłumacy Wojtek Magdzie, do nieba to się pono idzie bez Rosyę. Kto jest grzyśny, to się na Sybirze wypokutuje. — Wnet staneli przed bramom niebieskom. A ze sie juz w porzondku zaćmiło, święty Pieter ni móg nijako zmiarkować, który to kluc od nieba, a który od piekła. Wcisnął jeden i zacon kręcić, ale ani w te strone, ani w te strone, nijako ni moze odemknąć. Pokręcił mocno, jaze coś trzasło. Święty Pieter wyciąga kluc i spostrzega, ize to kluc od piekła, ale, niestety, złomany. Poniezus powiada: »Dobrze, ze sie ten od nieba nie złomał, boby my musieli siedzieć za dźwiami. Ale kady ja teroz podzieje pijoków, kiedy kluc złamany? Trzeba ik teraz wpuścić do nieba«. No i na tem się skończyło, powiada Wojtek.

Magdzie sie ta troche wydawała ta ewangelia niesamowita, bo ksiądz probosc przecie zawdy powiadali na kazaniu, ze pijaki pójdom do piekła, ale ze to nie była z ni ucono baba, to sie tez ta nie zbywała.

— No cekoj — powiado do Wojtka — ja sie ta popołedniu przekonom, a teraz jedz.

Wojtek siad do jedzenia, ale mu nijako nie mogło przeleźć przez garło, bo wiedzioł, co go ceka, jak się Magda dowie, ze on takom ewangelije zmyślił.

Po obiedzie Wojtek się znowu zabiro, a Magda mu powiada:

— No, teraz idź na niespór, a potem se ta mozes iść wypić.

Wojtkowi się to nie bardzo podobało, ale posed prosto drógom do kościoła, dokąd go Magda mogła widzieć z okna. Potem skręcił poza olsynę Oślikowskiego, prosto miedzom ku karcmie. Tu se kazoł dać półkwaterek gorzołki, siad między kolegami i opowiedzioł im całom przygodę z ewangeliom. Dopiro było śmichu.

— Ano Wojtek — powiadajom mu — kiedyś ty taki mondry ewangelista, to bedzies dzisioj pił za nase piniądze. I zanim wiecór przysed, ewangelista był taki pijany, ze rękami ani nogami ni móg rusać, a koledzy dalej hałasowali, jaz wpośród tego wszyćkiego Wojtek usnął.

Jak usnął zacyno mu sie zaraz śnić o tyk klucach, ze to on niby umar, no i potem, jak to przecie kuzdy wie, posed na sąd. No i tam, jak sie mu to nalezało, zasądził go Poniezus do piekła. Ale, jak ju to wprzódy powiedzioł Wojtek, kluc był złomany, to tez Poniezus powiada: »Cóz juz ta bedziemy z nim robić? Dyć to przecie nowy ewangelista, to go tam pomiędzy tyk śtyrek ni mozna dać, bo nie pasuje. Posadź go tam na tym dziurawym stołku, przy piecu«.

Za Wojtkiem zaceni wchodzić wszyscy jego koledzy. Jak sie juz ciesył w najlepse ze swoimi kolegami w królestwie niebieskiem, ktoś tak głośno krzyknął: »Wojtek!« jaz sie Wojtek obudził. Magda bowiem, podcas gdy Wojtek pił, jak wierny Apostoł, obleciała pół wsi i Wojtkowom ewangelie opowiedziała. Ale jak sie dowiedziała, jaka dziś była ewangelija, pędem poleciała do chałupy po mietłe a potem z mietłom do karcmy. Jak się Wojtek obudził, to Magdę we drzwiach uwidział i krzyknął z przeraźliwościom.

— Matko Boska! a to co? to moja stara tez tu? Ja nie będę mioł od tej jędzy spokoju nawet w królestwie niebieskiem?

Jemu się ciągiem zdawało, ze jest w niebie.

— Ja ci tu dam królestwo niebieskie! Pójdzies ty do chałupy! ty pijoku — krzyknie Magda.

— Do jakiej chałpy? — pyta Wojtek. — Cóz se ty stara myślis, mnie tu wpośród świętych, jarchaniołów, apostołów, ewangelistów pijokiem przezywać? Toć ty musis przecie dokumentnie wiedzieć miejsce święte i tyla. Ale ze tu nima rogu z oliwom, to go przynajmni gorzołkom poznakuje.

Tak pedziawszy, sięgnął po flaskę, ale Magda tak silnie go za rękę sarpneła, jaz mu flaska z ręki wyleciała i rozbiła się, a Wojtek runął jak długi na ziemię. Ale ta powoli z pomocą Magdy zebrał się i posed do chałpy.

Na drugi dzień rano rzadkom miał minę, a jak se to wszyćko rozwazył, jak on sie to zbłaźnił, postanowił od tego casu ani jednego kieliska gorzołki nie wypić i dotrzymał słowa. Ino mu nazwa ewangelisty na zawse została. Ale Wojtek se ta z tego nic nie robi i sam mi to wszyćko opowiedzioł, zebym to dał wydrukować, zeby wszyscy wiedzieli, jak to gorzałka człowieka zbłaźni i zeby raz przestali gorzołkę pić.

Andrzej Wróbel.

NA ODPUŚCIE.

Rozjęczały się dzwony w jakiś niecodzienny ton, uroczysty a wzniosły, a na głos dzwonu z blizka i daleka suną gromady ludu długim sznurem. Jednych ciągnie pobożność, drugich ciekawość, a są i tacy co tylko dla rozrywki tam spieszą. Jeżeli tylko czas jaki taki i z nieba nie chlapie, ciągną ludzie na odpust całemi gromadami i nie dziw, bo jest po co. W kościele od rana msza za mszą, a sumę odprawiać ma aże sam ksiądz dziekan, zaś kazanie wypowie ksiądz, który jeszcze wczoraj zjechał aż z dziesiątej parafii. Po konfesyonałach siedzą księża i oczyszczają ludzi z grzechów, jak rodzajne jabłonki z gąsienic.



To w kościele. A przed kościołem ileż tam ciekawości! Na obszernych stołach rozłożyli kramarze tyle śliczności, że aż oczy bolą patrzeć. Są tam obrazki prześliczne po dwa i cztery centy; są książeczki do modlenia, skaplerze, różańce i t. p. A na innych stołach poukładane słodkie serca z piernika i różne inne śliczności. To też niejedna dziewucha póty zagląda chłopcom w oczy, póki którego nie zniewoli do siągnięcia do kieszeni i zakupienia piernikowego serca.

Nawrócony!

(Zdarzenie prawdziwe).

Alojzy był synem nieprzykładnych rodziców, którzy, chociaż Polacy, dzieci swych wcale po polsku nie wychowali. Po dziesięciu latach swego pożycia poróżnili się na dobre i rozeszli. Ojciec, z zawodu ekonom, ożenił się z Niemką i przepadł gdzieś w świecie, a matce trafiło się jakieś rude Niemczysko, za którego również wyszła, biorąc ślub u luterskiego pastora. Dzieci, których było troje, zostały przy matce. Lecz pożal się Boże, cóż za przykład: ów ojciec, bo tak kazała go matka dzieciom nazywać, był ostatnim pijakiem i zawalidrogą. »Żonie« nie pozwolił chodzić do kościoła, a jego kościołem to była karczma, w której przesiedział prawie od rana do późnej nocy, a wróciwszy późno do domu, klął i bluźnił z wiary naszej świętej i Boga. Niepodobna więc, aby dzieci, chociażby najlepsze, chowane w takich stosunkach, mogły wyróść na dobrych synów Kościoła i ojczyzny.

W kilka lat później, gdy owe dzieci zaczęły dorastać, myślała matka o tem, żeby ich się pozbyć. Nie przebierając, oddała je w służbę, naturalnie do Niemca, gdzie owe dzieci zniemczały zupełnie.

Alojzy, jeden z owych dzieci, mając lat 17 zapragnął wyuczyć się jakiegoś rzemiosła. A że był składny do igły, poszedł więc na naukę do krawca, do dobrego majstra, ale zato do zaciętego Niemca, lutra.

Alojzy był to chłopak miernego wzrostu, o twarzy miłej i palących oczach. Pomimo złego wychowania można było w nim dostrzedz niejeden szlachetny rys charakteru. Wkrótce polubili go majster i majstrowa, i obchodzili się z nim jak z własnym synem. Krawiec ów miał w tym czasie na mieszkaniu pewną polsko-katolicką rodzinę, która prowadziła życie wzorowe, szczerze po polsku i katolicku. Młoda matka tejże rodziny miała przy sobie swą młodszą siostrę, imieniem Marya, która liczyła zaledwie szesnastą wiosnę życia. Była to dziewczyna wyrosła nad swój wiek, o przyjemnych wdziękach. Siedziała ona pewnej wiosennej niedzieli popołudniu, swym zwyczajem na ławeczce przed domem, zapatrzona w krzak róży, który znajdował się w ogródku, starannie przez nią pielęgnowanym.

Myśl jej zdawała się błądzić daleko stąd, a serce ścisnęło się żalem.

— Czy ujrzę go jeszcze, czy myśli on jeszcze o mnie? O gdyby tu dziś był przy mnie, zerwałabym jednę z najśliczniejszych róż i ozdobiłabym nią pierś jego.

Gdy tak pomyślała, poczuła, że spada na jej głowę coś niby lekki puch śniegu. Potrząsnęła główką, żeby się przekonać, co to jest. Były to listki białej róży. Podniosła oczy, żeby zobaczyć, skąd one się biorą, lecz spuściła je natychmiast, rumieniąc się nieco. Ujrzała bowiem w piętrowem oknie głowę Alojzego. Czuła ona od pierwszego się ich poznania, że nie jest mu obojętną. Jej młode serduszko, które biło tylko szczerze polskiem życiem, nie mogło się jednak zrównać z jego nawskróś zniemczałem sercem. Był jej więc obojętnym. Nie dała jednak tego po sobie poznać, miała bowiem szczerze polskie i szczerze katolickie serce. Znając Alojzego i jego zboczenie z prawej drogi, bardzo ją to bolało, gdyż nie chodził on już do katolickiego kościoła a u spowiedzi świętej nie był przez lat kilka. Najbardziej niepokoiło ją to, gdy się dowiedziała, że pragnie on przejść na protestantyzm. Myślała tedy nad tem, jakby temu zaradzić.

Znalazła wnet sposobność. Siedząc pewnego razu z polskim katechizmem w ręku, wyjaśniając niektóre pytania swej małej siostrzenicy, usłyszała lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę — odezwała się młoda nauczycielka.

Odchyliły się drzwi i wszedł Alojzy.

— Cieszę się bardzo z twego przybycia — rzekła, podając przybyłemu krzesełko.

— Jak widzę, bawisz się dzisiaj czytaniem jakiegoś romansu, jeżeli ładny, możebyś zechciała mi go w krótkości opowiedzieć — zagadnął Alojzy. — Gdybym rozumiał po polsku, sambym go przeczytał.

— O mam ten sam i w niemieckim języku. Poczekaj chwilkę, zaraz ci go przyniosę. — Mówiąc to, poskoczyła żywo ku szkolnej torbie swego najstarszego siostrzeńca i wydobyła z niej szkolny katechizm w języku niemieckim.

— Mylisz się bardzo, sądząc, że ja czytam romanse — rzekła dziewczyna, podając gościowi książkę.

Alojzy drgnął lekko, otworzywszy ją.

— Oj, żartujesz ze mnie, kochana Maryniu — rzekł do dziewczyny — przecież to nie żaden romans?

— Cóż tobie po czytaniu romansów? O wiele lepiej zrobiłbyś, czytając tę oto książkę. Z pewno-

ścią nie odważyłbyś się na tak straszny krok, który uczynić, jak słyszałam, zamierzasz.

Alojzy zarumienił się po uszy.

— I ty wiesz o tem? I boli cię to? — wtrącił wesołym głosem. — O w takim razie z pewnością mnie także kochasz.

— A czemu nie miałabym cię kochać? przecież pierwsze i najważniejsze przykazanie mówi: »Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego, z całej duszy twojej, ze wszystkich sił twoich a bliźniego twego jak siebie samego«.

Chłopak spoważniał, zamyśliwszy się nieco. Poczem począł mówić wzruszonym głosem: Miłować Boga, miłować bliźniego swego, jak siebie samego! Ach, Boże, ja nawet samego siebie prawdziwie nie miłuję. Bo czyż mógłbym tak daleko zabrnąć, gdybym się prawdziwie miłował? Proszę cię, kochana Maryniu, mów mi więcej o Bogu, o wierze, którą naprawdę myślałem utracić, sam nie wiem dlaczego.

— Z pewnością tylko dlatego, żeś w niej źle wychowany i dobrze jej nie znasz — dodała Marynia.

— Być może, w takim razie, proszę cię, pouczaj mnie; mów dziewczyno, bo twe słowa padają na mą duszę, niby rosa orzeźwiająca.

Dziewczę uradowane niezmiernie, poczęło mu opowiadać, czem się różni wiara katolicka od protestanckiej i udowadniać prawdziwość pierwszej różnemi ustępami z pisma św. Alojzy słuchał jej z wielką uwagą i roztropnością.

Odtąd był on częstym gościem w domu jej siostry, która równie swem napominaniem słuchającego do łez wzruszała. W kilka tygodni później pospieszył Alojzy do konfesyonału, ażeby po kilku latach na nowo się z Bogiem pojednać. Czuł się potem o wiele szczęśliwszym, jak sam nieraz wspominał, dziękując Maryni i jej siostrze za ich wielką przysługę względem niego. Majster i jego żona usiłowali różnymi sposobami i obietnicami odwieść go napowrót od naszej wiary czego jednakże nie osiągnęli.

Na głowę Maryni spadł jednakże nowy kłopot. Wiedziała ona bowiem, ze Alojzy, który już teraz prowadził życie po katolicku, był jej całkiem oddany, spodziewał się widocznie posiąść jej wzajemność. Kochała go ona wprawdzie, lecz tylko jako przyjaciela.

Ach, tamten przemawiał do niej tak cudnie po swojemu, tą mową, którejby się ona za nic w świecie nie wyrzekła, a ten, chociaż także mówił dla niej zrozumiałym językiem, ale nie szło jej to wcale do serca. Czuła, że tylko ojczystą mową może poruszyć struny jej serca i usłyszeć ich oddźwięk.

Kiedy Alojzy, przejęty szczęściem, prawił jej różne komplementa, ona kpiła z niego, nazywając go niemieckim Polakiem. Połykał on te kwaśne jabłka, chociaż były ciężkie do strawienia, z gorzkim uśmiechem. Widząc, że na żaden sposób nie może jego uczuć odmienić, postanowiła się stąd usunąć, co też wkrótce uczyniła, odjechawszy do rodziców. Lecz Alojzy, nie mogąc osobiście być przy niej, począł zarzucać ją listami i prosić o wzajemność, ale ona, odebrawszy listy, zaraz po przeczytaniu je paliła, odpisując mu w przyjacielskim tonie. Gniewało ją bardzo, kiedy Alojzy, wynurzając swą wielką miłość ku niej, pragnął wzajemności. Napisała mu więc stanowczo, że może ją tylko uważać jako przyjaciółkę i w tejże intencyi do niej pisywać. Nie wiem co się działo w sercu Alojzego, gdyż od tego czasu nie pisywał do niej więcej, z czego się ona jednak bardzo cieszyła, tem bardziej, dowiedziawszy się później, że stoi on mocno przy swej wierze. Polecając go w swych modłach Bogu, żal jej go było, że nie mogła jednak go kochać dlatego, że był »niemieckim Polakiem.

Wiktorya Bilicka.



MACIEK BZDURA GADA:

Nasa wieś to juz taka zatracona, ze w ni uściwy człowiek ani rus nie moze się pozbyć panieństwa. Bez cały mięsopust to ta, to tamta chadera do mnie ślipie scyrzyła i ciągiem gwarzyła.

— Zeń się Maciek, bo ci juz cas wielgi.

Ja tam nie był od tego, ale ze to w mięsopuście człek jałowizny nie cirpi, to woli myśleć o śpyrce, abo choćby i o kluskach, jak o babie, bo z tego większy prefit. Ale ze teraz święty post i jakiesi ino powietrze po kiskach prześlicne marsie wygrywa, to człowiek casowsy i na babę większą ochotę posiada. Idzie ino o to, jagem to juz pedzioł, ze nasa wieś taka zatracona, co o babę trudno zawadzić. Ino się do który ozwies delikatnie:

— Małpo! kces mnie? — to ona zaraz się odwyrknie.

— Odpal, pókim dobra! Idź se weź taką z miasta, co to w portkach chodzi, kiedyś taki jenteligent, co sie kces w poście zenić.

Gadam ja jem tedy, ze ja w poście ino się kce oświatcyć i zaręcyć, jak to wszyćkie ucone ludzie robią, a dopiro po Wielginocy, jak se dobrze pojem, to będziewa o zeniacce gaworzyć. Ale te dziwki z nasy wsi, to na taką duzą odległość zeniacki nie kcom, ino kuzda pada, ze bedziewa o tem gadać dopiro po świętach.

Ha, co robić, jak tu mnie w nasy wsi zadna teraz do oświadcyn nie przyjmie, to się palnę na saksy, bo tam teraz tyle ludzi jedzie, to i ja się zmiescę. Na saksach, choć tam pono o kościółek trudno i słowa Bozego nie mozna usłyseć, ale zato o różne zaręcyny to łatwo. Od nas, co która dziwka pojedzie do Prus, to se na zimę zaraz przywiezie chłopaka, to moze tam i mnie która prędzy ze sobą zabierze.

To mnie ino dziwi, ze z Prus, to jak która przyizdza, to se przywozi takiego maluśkiego chłopaka i dopiro go chować musi, aby i urósł, a casem to się pomyli i dziewcynę przywiezie. La tego tez jak ja tam pojadę, to się zaraz znajdzie jaka, która mnie weźmie i odrazu będzie miała wielgiego chłopa do ozeniacki i do roboty w polu, w chałpie i wszędzie. Zawse to przecie chłop wielgi i urodny, to lepsy jak bylejaki brzdąc mały.

Choć mi to jegomość padają, zebym do Prus nie jechał, bo tam stracę wiarę i uściwość, to co tam to wszyćko! Choć wiary nie będzie i uściwości nie będzie, choć się po śmierci z dyabłami palił będę, to zato przywieze se złoty łańcusek za śtyry szóstki bez zygarka i stary kapelus, co go śwaby na gnój wyrzuciły.

Oj, będą to będą wszyćkie wsiowskie dziopy za mną lamentowały i breweryе wyprawiały, a ja się będę śmioł jesce bardzi, jak na pogrzebie nieboski matsi, co jem Kaśka było na przezwisko.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Wstał ranek pogodny, jasny, ciepły — strzeliło słońce tysiącem promyków, zalewało niemi stepy, jakby je chcąc z uśpienia rozbudzić. Cisza trwała na stepie poważna, miła, nic jej przerywać nie śmiało.

Ciszę przerywały odgłosy głuche, niewyraźne, od zachodu płynące. Zbliżały się powoli, miarowo, coraz głośniejsze a głośniejsze. Ukazała się wreszcie na stepie gromadka jezdnych, około dwudziestu licząca. Na czele jechali Padyga, Włobodowski, Karski.

Padyga, odzyskawszy wolność, chwili czasu na próżno nie stracił; przy pomocy pana Jakóba zebrał kilkunastu z okolicznej szlachty, z którymi przedsięwziął poszukiwania podczaszanki. Towarzysze, których zebrać potrafił, byli to po większej części przyjaciele nieboszczyka podczaszego, szczerze miłujący jego pamięć.

Z Zaczajewa — tam bowiem był punkt zbiorowy agitacyi przeciw staroście — wyjechali przed kilkoma dniami. Prowadził Padyga na step, nie miał wskazówek żadnych, liczył tylko na los szczęścia. Spodziewał się, że w okolicznych lasach i stepach napotkać musi gromadę hajdamaków, a tych ująwszy, po nici kłęba dojdzie.

Jechali wszyscy posępni, jak gdyby coś groźnego przewidując. Padyga odzywał się rzadko, zajęty był najróżnorodniejszemi myślami.

Od pewnego czasu ucichły wieści o napadach hajdamaków, brakło tedy o nich wszelkich wskazówek. Niesforne zgraje zwykły się niespodzianie a nagle przerzucać z jednej miejscowości w drugą, trudno zatem było cho ciażby cośkolwiek wykombinować co do ich śladu. Rozumiał to Padyga i gryzł się wewnętrznie; rozumieli też wszyscy trudności podjętej sprawy. Krzywda wszelako sieroca była dla nich potężnym bodźcem, nie dopuszczała zniechęcenia, podniecała umysły, zagrzewając do dalszego działania.



W drzwiach budynku ukazała się postać kobiety.

— Tfu, do dyaska — odezwał się pan Tyszka, przerywając długie milczenie. — Zapadły kąt! nigdy sobie darować nie mogę, żem aż tu z miłego Mazowsza zaszłapał.

— Któż cię bo ściągał — roześmiał się pan Radziecki. — Mogłeś waść siedzieć na swojem Mazowszu, ta i kwita.

— Hm... mogłem ci to prawda. I siedziałbym, dalipan siedziałbym. Bieda wypędziła człeka z pod strzechy rodzinnej, przybrnąłem tu, gdzie mi dzieje się niezgorzej, a powiadam waszmościom, że bodaj czy się do swojej dawnej biedy nie wrócę.

— Mój Tyszko, racyę ci przyzna każdy — na to Radziecki. — Już co swój kąt, to swój. Ano, toć przecie nie na obczyźnie jesteśwa — jeno na ziemi do ukochanej Rzeczypospolitej należącej... Cóżbyś dopiero gadał, znalazłszy się, na ten przykład — u Francuzów.

— Waść tam z Francuzami wyjeżdżasz! — oburzył się Tyszka. — Hm... Francuzi, wiadoma rzecz, nie dla nas ich kraj. Tu, twierdzisz waszmość, nijako jesteśmy na swojem. Ładne mi swoje! Rzuć okiem, puszcza, puszcza i puszcza bez końca.

— Oj, to prawda! — westchnął ktoś z gromadki.

— Jużcić prawda — żywo podchwycił Tyszka. — Ano, to jeszcze nic. Człek oka pewnie zmrużyć nie może po pracy; zaśniesz — a tu kaduk gotów w każdej chwili przynieść Tatarzyna albo hajdamakę. Przyznacie waszmość panowie, że to niemiła historya.

Na to odezwały się zaraz liczne potakiwania, Radziecki zaś rzekł.

— Nie zaprzeczę ci, miły Tyszko, wszystko co mówiłeś prawda jest, ba! chłop strzela a Pan Bóg kule nosi. Nie my rządzim światem. Ot, ktoby się spodziewał, co się stanie z podczaszym. Ręczę, że nikomu z nas przed miesiącem do głowy nie przyszło, iżbyśmy się mieli włóczyć po tych wertepach, szukając jego córki.

— Podczaszanka — rzekł głucho Padyga. — Da Bóg, da Bóg, że ją odnajdziem i kłam w oczy rzucimy staroście.

— Byle jak najprędzej — dodał Tyszka — skoro się raz zgadało o tem, pozwól waszmość, mości Padygo, że ci się przyznam, pewności naszej sprawy dopatrzeć się nie mogę. Po dziś dzień błądzimy po wertepach, niby stado bez przewodnika.

— Waszmość, zda mi się, serce stracił? — zagadnął ostro Padyga.

— Kto? Ja? — żywo zaprotestował Tyszka. — Bodajeś się waćpan temi słowy udławił, zanimeś je wypowiedział. Nikt tu z nas serca nie stracił, ani stracić nie myśli. Ano, markotno mi, że dotychczas ani wietrzyku nie słychać od strony naszej sprawy.

— Hajdamactwo musiało się w innej stronie zabałamucić — dorzucił Karski.

— Panie Ignacy — szepnął Włobodowski do Padygi. — Nie sroż się, skoro ci powiem, że się na zdanie Tyszki piszę. Pono nic nie wskóramy, włócząc się gromadnie.

— Więc cóż waść radzisz? Gadaj, na miłość Bożą, bom gotów stracić głowę.

— Nic gotowego na myśli nie mam — odparł pan Jakób. — Wszelako.... czy nie byłoby lepiej, abyśmy przyciągnęli gdzie nie bądź i zamiast się wszyscy razem włóczyć, — pojedynka wysyłali na zwiady.

Popatrzył na niego Padyga.

— Może waszmość i słusznie prawisz — rzekł — trzeba o tem pogadać seryo, na pierwszym odpoczynku. Jeno dojedźmyż tamtych drzew oto.

Wskazał przytem gromadkę drzew, otaczają-

cych ruinę niegdyś futoru,*) o czem przekonywały szkielety kilku chat, gdzieniegdzie kół od płota pozostały i zaledwie dojrzane teraz ścieżki. Futor snać zniszczony był przez ogień, po którym mieszkańcy się z niego, Bóg wie dokąd, wynieśli.

Padyga bacznie obzierał się dokoła, aliści spokój powszechny trwał nieprzerwanie.

— Spocząć wypada panowie a bracia — ozwał się, pierwszy z konia zsiadając. Przy okazyi zaś podam wam myśl, która panu Jakóbowi do głowy przyszła.

Miejsce na spoczynek było wyborne, znalazła się i woda świeża w studzience, konie miały trawy naokoło ile tylko chciały. Pozsiadali nasi poszukiwacze na ziemię, ten i ów tłómoczek odwiązywał, dobywając z niego posiłek, Padyga bowiem nakazał, aby się każdy z towarzyszących mu zaopatrzył w żywność na kilkanaście dni, przytem po drodze nie oszczędzano zwierzyny, jeżeli takową zoczono.

Pan Tyszka — człek nader ciekawy — obchodził futor, zaglądał wszędzie — aż do trzymającej się ledwie kleci wszedł, która swego czasu za chatę mieszkalną ludziom służyła. — Wszedłszy tam, po niedługim czasie wyszedł a raczej wybiegł mocno zaaferowany.

— Takżeś waszmość miejsce dla spoczynku wybrał — zawołał, sapiąc, do Padygi. — Na psa urok, radzę czemprędzej siadajmy na koń i jedźmy.

— Cóż ci się stało? — zapytał zdziwiony Padyga.

Szlachta otoczyła kołem Tyszkę, ten wskazywał ręką naszeptując:

— Tam jakaś wiedźma, czy insze złe. W imię Ojca i Syna...

Nie skończył mówić, gdy w istocie w drzwiach rozwalonego budynku ukazała się postać kobiety. Szlachta z pewną trwogą zwróciła na nią oczy.

— A co? a co? — szepnął Tyszka. — Gotowa jeszcze co zadać albo zamówić. Jedźmy, panie Ignacy.

— Ależ to szalona — zaprzeczył mu Karski.— Spotkałem ją, jadąc do Stepanowa.

— Szalona, szalona — mruczał szlachcic. — Zawdy bezpieczniej byłoby jechać.

Padyga postąpił do stojącej pod klecią Ołenki.

— Kto ty jesteś? — zapytał łagodnie.

Obłąkana założyła ręce na skroniach, oglądała się to w tę, to w ową stronę z uśmiechem smutnym.

— Przyjechali panowie... przyjechali gromadą — ozwała się półgłosem. — Rżą koniki, kopytkami o ziemię grzebią. Brzęczą szabelki... o... głośno.

— Rozumiesz o co pytam? — głośniej zapytał Padyga. — Kto jesteś i co robisz w tej rozwalonej budzie?

— Kto ja jestem?... ha... ha!... — odparła śmiejąc się. — Dziwni ludzie! Przyjechali aż tu i nie znają, żem ja pani... królowa. Ha, ha.

— Z nią ani gadania — rzekł Padyga.

— Szalona z kretesem — powtórzył Karski.

— A ja waćpanom dokumentnie powiadam, że wiedźma jest, ino szaloną udaje. Coby tu robiła sama w tej puszczy? Łże, aż się za nią kurzy.

— Dajże waść spokój, mospanie Tyszka. Wszędzie jeno czary widzisz — ofuknął Padyga, zaczem znowu do Ołenki zwrócił.

— Kto z tobą mieszka, sama przecież nie siedzisz w tem pustkowiu?

Dziewczyna ręką czoło potarła.

— Czy sama mieszkam? — rzekła — panie jasny, wielmożny, a co tobie po tej wiadomości? Ołenka się ciebie nie zlęknie, choćbyś groził... chociaż sama na świecie bożym, jedyna, jedyna sierotyna.

*) Futor, mały folwark.

Wsparła się o pień stary i dalej prawiła smętnie.

— Miałam ci ja ojca i macierz... miałam oboje... miałam upatrzonego mołojca — sokoła,.. hej... Bogdanka pany Lachy zarezali... zakłuli, niema go, niema sokoła.

Padyga nie słuchał dłużej, ręką machnął, do kleci wszedł, aby się przekonać, czy w niej rozumniejszej istoty nie znajdzie. Wrócił próżno. Po chwili jednak, westchnąwszy, skinął na towarzyszów, konie wskazując.

— Panowie a bracia, nie gwoli zadosyćuczynienia panu Tyszce, ale z racyi, że widok tej dziewczyny jakoś przykre robi wrażenie, odjedźmy dalej. Bóg z nią! Nieszczęście dobrej myśli nie budzi.

W milczeniu powsiadano na konie i wolno ruszono w kierunku lasu, który w oddali się czernił.

— Zawdy na mojem się stało — szeptał do jadących obok towarzyszów Tyszka. Ano, przekonał się jako moja prawda. Wiedźma jest i kwita.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gdzie szczęście.

Jeśli szczęśliwym chcesz być na świecie
Starcze, młodzieńcze, dziewico, dziecię,
Zachowaj zawsze czyste sumienie,
Bo to jest twoje najdroższe mienie.

Brzydź się lenistwem, pokochaj pracę;
Ta uszczęśliwia, niesie zysk płacę.
Z wytrwałych trudów, z potu na skroni
Doczesne szczęście ci się wyłoni.

Bądź zawsze szczerym, otwartym, chrobrym,
Szlachetnym, prawym i bratem dobrym,
Nie bądź zazdrosnym, łakomym, mściwym,
Szanuj cześć swoją, będziesz szczęśliwym!..

Umiej poprzestać na cząstce małej,
Częstokroć szczęścia to sekret cały.
Wśród różnych życia tego kolei
W szczęśliwą przyszłość nie trać nadziei!

Jeśli szczęśliwym chcesz być na ziemi,
To nie gardź nigdy nieszczęśliwymi —
Ile stać ciebie i co w twej mocy,
Każdemu udziel rady, pomocy.

Jeśliś prostakiem z wieśniaczej chaty,
Staraj się nabyć, bracie, oświaty,
Wtedy uczucie cnoty zakwitnie
I będziesz marzył i działał szczytnie.

Jeśli szczęśliwym chcesz być na świecie,
Żyj jak mąż dzielnie, a jako dziecię
Niewinnie, zgodnie, ufnie, miłoście,
To w twoim sercu będzie radośnie.



Chcesz być szczęśliwym tu i w wieczności,
Niech się w twem sercu miłość rozgości,
Bo całe życie tego szczęśliwość,
To miłość bratnia i sprawiedliwość.

Emil Nierychel.

Z TYGODNIA.

25 rocznica konsekracyi. W ubiegłą sobotę w święto Zwiastowania Najśw. P. Maryi obchodzono uroczyście we wszystkich kościołach dyecezyi krakowskiej 25-tą rocznicę konsekracyi biskupiej księcia kardynała Jana Puzyny. Ks. kardynał Puzyna został wyświęcony biskupem 25 marca 1886 w kościele kollegium polskiego w Rzymie z ręki Polaka ks. kardynała Ledóchowskiego. We wszystkich kościołach dyecezyi odprawiono też msze święte i modły na intencyę ks. kardynała Puzyny.

Wychodźtwo z kraju tego roku przybiera olbrzymie rozmiary. Codziennie około 5 tysięcy włościan wywożą pociągi przez Kraków z różnych stron kraju. Najwięcej wyjeżdża Rusinów ze wschodniej Galicyi, ale też i Polaków niemało. Kiedy to nastaną te dobre czasy, że wieśniak we własnym kraju znajdzie zajęcie i nie będzie się musiał tułać po obcych krajach. Wszyscy się starają o to, ale niestety u naszych włościan jeszcze oświata jest bardzo niska, i nie ma szkół przemysłowych. Pomyśleć tylko, gdyby chociaż kilku włościan ze wsi, którzy nie mają roli, wykształciło się dobrze w jakiemś rzemiośle lub handlu i nuż mądrze po kupiecku zakładać warsztaty, sklepiki lub restauracye w miasteczkach. Każdyby kupował lub zamawiał u rzetelnego kupca lub rzemieślnika Polaka i pieniądze zostawałyby w rękach polskich i nie bogaciłoby się żydów, którzy nas skrycie nienawidzą i są naszymi największymi wrogami.

Rozwiązanie czy odroczenie? W parlamencie austryackim dzieje się źle. Czesi rozpoczęli obstrukcyę t. j. naumyślnie wygłaszają długie mowy, aby przeszkadzać obradom. Rząd nie może więc w parlamencie przeprowadzić żadnych uchwał ani nawet uzyskać uchwalenia niezbędnego budżetu, potrzebnego na opędzenie wydatków, na szkoły, urzędy itp. i nosi się z zamiarem rozwiązania izby poselskiej. Wszyscy posłowie twierdzą, że rozwiązanie Izby jest bliskie. W razie rozwiązania przyszłoby naturalnie do nowych wyborów, bo dotychczasowi posłowie straciliby mandaty. Nim to jednak nastąpi, rząd w poniedziałek odroczył obrady Rady Państwa, a w tych dniach zapewne ją rozwiąże.

Ludność Austryi. Ostatni spis ludności wykazał, że Austrya (bez Węgier) posiada 28 milionów 567 tysięcy ludności tj. o 2 miliony 417 tysięcy więcej niż przy poprzednim spisie przed dziesięciu laty. W tem ludność Galicyi wynosi 8 milionów, Czech 6,760.600, a Dolnej Austryi wraz z Wiedniem 3,500.000 głów. Ludność Bukowiny wynosi tylko 796 tysięcy.

Podejrzliwe mocarstwa. Wiadomo to, że wielkie mocarstwa zachowują się względem siebie zawsze podejrzliwie. Nibyto na pozór się kochają i ciągle sobie mówią, że chcą żyć zawsze w pokoju i przyjaźni, gdy się zjadą monarchowie, wygłaszają ładne toasty o przyjaźni i wzajemnej miłości, a poza plecami zbroją się ciągle i swych przyjaciół szpiegują, ciesząc się, jak mogą odkryć ich ważne tajemnice wojskowe. I to wszystkie mocarstwa, prawie bez wyjątku, tak postępują, ale najwięcej się to odnosi do Anglii i Niemiec. I wszyscy już wiedzą, że Anglia i Niemcy budują przeciw sobie ogromne wojenne okręty, chociaż każde z nich temu zaprzecza. Szpiegują się też wzajemnie. W połowie marca udało się policyi pruskiej przyaresztować w Hamburgu pięciu angielskich szpiegów, którzy od dłuższego czasu węszyli na niemieckich okrętach i robili dokładne rysunki okrętów, nietylko już gotowych, lecz jeszcze znajdujących się w budowie. Wśród aresztowanych szpiegów znajdują się dwie kobiety.

KRONIKA.

Po czem poznać dobrego Polaka? Na to pytanie możnaby odpowiedzieć długim artykułem, a jeszcze nie wyczerpującym sprawy. Naogół jednak uważamy za Polaka tego człowieka, który nietylko wszędzie i otwarcie swoją polskość objawia, ale także stara się wśród innych, obojętniejszych, obudzić poczucie narodowe. Najlepszym do tego środkiem jest dobre pismo polskie. Bywają wypadki, niestety rzadkie, że zamożniejsi ludzie swoim kosztem zapisują uboższym gazetę, byle im tylko uprzystępnić pokarm narodowo oświatowy. Jest to piękny objaw patryotyczny, ale gazety tego żądać nie mogą.

Najpierw każdy, choćby najbiedniejszy, ma na to, żeby za małe pieniądze zapisać sobie gazetę. Po drugie, przy kilku słowach gorącej zachęty każdy, nawet mniej uświadomiony Polak da się nakłonić do zapisania pisma polskiego, a przeczytawszy kilka numerów pozna, jakie stąd płyną dla niego korzyści, i już go więcej nie popuści. Wiemy dobrze, że każdy lubi czytać, ale nie wszyscy czytanie uważają za konieczność. Niejednego trzeba dopiero do tego zachęcić, a gdy w czytaniu zasmakuje, wtedy będzie ono dla niego największą rozkoszą. Do takiej zachęty wzywamy naszych przyjaciół, niech działają w tym duchu, aby nie było ani jednej chaty polskiej, w której nie byłoby poczciwej gazetki.

(C. A.) **Nagła śmierć zasłużonego kapłana.** W sobotę 25 marca zmarł nagle na udar serca ks. Józef Adamus w Jaworzu na Śląsku austr. Urodził się 9 sierpnia 1865 r. w Kończycach koło Polskiej Ostrawy a wyświęcony 27 lipca 1890. Pogrzeb odbył się we wtorek 28 marca 1911. Zmarły był znany w całej parafii i okolicy ze swego charakteru i spełniał gorliwie swój urząd kapłański. Zdziałał on wiele dobrego dla ludu katolickiego i nauczając go w Czytelni katolickiej w Jaworzu. Jest to smutny i straszny wypadek tak nagle zejść z tego świata i zdać rachunek przed tronem Boga Najwyższego. W sobotę popołudniu siedział z dwoma księżmi i rozmawiał wesoło, gdy wtem obalił się na podłogę i wyzionął ducha. Cześć jego pamięci!

Ciekawy wypadek, a przytem bardzo smutny zdarzył się we wsi Przyszowej, w powiecie limanowskim. Oto niejaki Kazimierz Wilczyński powiódł prosię na jarmark, na sprzedaż, ponieważ jednak mało mu dawali, wrócił do domu i postanowił zabić je dla siebie. Przywołany w tym celu rzeźnik, zatopiwszy nóż w prosię, obejrzał się poza siebie i zobaczył ze zdziwieniem Wilczyńskiego nieżywego na ziemi. Widocznie tak wielkie wrażenie zrobiło na biedaku bicie zwierzęcia, że padł trupem ze wzruszenia.

(J. C.) **Niecierpliwe konie.** W gminie Pstrągowej pewien gospodarz dnia 7 marca b. r. poszedł na wstępny jarmark do Ropczyc kupić konie i nie darmo poszedł, bo kupił konie za 308 kor. Powracał z nabytymi końmi i z dwoma gospodarzami z tej samej wsi do domu. Wstąpili do karczmy na poczęstne po długiej podróży. Konie gospodarz zostawił na dworze przy płocie. Kazawszy sobie piwa i wódki popijali przez dłuższy czas. Gdy ów gospodarz wyszedł popatrzyć, czy konie stoją, zobaczył, że znikły gdzieś bez śladu. Strapiony taką stratą, zapomniał o poczęstunku i poszedł szukać swej zguby, lecz nadarmo; koni jak nie było tak niema. Dopiero czwartego dnia odszukał swą zgubę aż gdzieś koło Ropczyc i jeszcze musiał dać 10 kor. znależnego. — Do czego to pijaństwo prowadzi! o mało że nie stracił 308 koron.

(J. C.) **Straszna zbrodnia.** W gminie Nowa wieś, powiatu strzyżowskiego, w miesiącu lutym wydarzył się bardzo brzydki wypadek, który wstrząsnął całą gminą. Obok drogi, prowadzącej z Czudca do Pstrągowej, stoi kaplica, w której jest umieszczony Pan Jezus na krzyżu i statua Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus na rękach. Jakiś zbrodniarz, socyalista czy inny bezbożnik, dopuścił się zbrodni na wizerunku Pana Jezusa i Matki Boskiej. — Oto Pana Jezusa podrapał po twarzy a Dzieciątku Jezus poobrzynał twarz i odłamał rękę. W kaplicy zbrodniarz ów powybijał szyby i uszedł gdzieś, dotąd niewyśledzony. Zbrodnia ta wywarła bardzo wielkie wrażenie i żal na mieszkańcach gminy Nowa wieś, a jeszcze tem większy, gdyż ten sam zapewne zbrodniarz w Rożance, wsi tego samego powiatu, obrabował dwie kaplice w ten sam sposób, jak i w Nowej wsi czudeckiej. Do czego to już dziś dochodzi, że nawet najświętszych rzeczy nie uszanują. Jest to bardzo smutne i przerażające, a wszystko to skutki nowych nauk, jakie głoszą różni bezbożnicy po całym świecie.

(A. B. C.) **Wymordowanie całej rodziny.** We wsi Krościenku niżnem pod Krosnem panowały pomiędzy rodzinami Kolanków i Zajdlów spory sądowe o grunt i dom. Spór ten przegrali w końcu Kolankowie. W niedzielę 19 marca Kolankowie napadli Zajdlów w biały dzień, bo o 3 popołudniu, i siekierami wymordowali osoby w domu się znajdujące. Trupem padły trzy osoby: dwoje Zajdlów i ich synowa. Żandarmerya aresztowała natychmiast morderców, którzy nie okazują nawet żadnej skruchy. Do czego to prowadzi takie zacietrzewienie ludzkie.

(K. Ż.) **Pożary.** W nocy z dnia 22 na 23 marca wybuchł pożar w gminie Chybi, którego ofiarą padła chałupa w większej części drewniana, która spłonęła do szczętu; jak również spaliły się dwie krowy i jedna maciora z prosiętami. Tejże samej nocy spaliła się także chałupa w sąsiedniej gminie Mnichu. Przyczyny tychże pożarów na razie nie są wiadome.

(J. M.) **Nieszczęśliwy wypadek.** W poniedziałek wieczór dnia 20 marca, przejechał pociąg robotnika kolejowego, Ignacego Böhma, w Dziedzicach na Śląsku austryackim. Nieszczęśliwego odwieziono zaraz do szpitala w Bielsku w stanie groźnym gdzie odjęto mu nogę. Liczy dopiero 22 lata.

Tajemniczy ganek. Podczas odnawiania wiedeńskiego Hofburgu stwierdzono w tych dniach istnienie ganku podziemnego, który, według legend dawno krążących wśród ludu, miał łączyć Hofburg z Schönbrunem. Odkryta część owego ganku, bardzo szeroka i stosunkowo wysoka, kończy się mniej więcej pod stajniami cesarskiemi, dalej bowiem jest zupełnie zasypana. O tajemniczem tem przejściu często wspominają stare książki wiedeńskie, ale powszechnie uważano istnienie jego za legendę. Odkrycie jednak obecne dowodzi, że pogłoski, krążące wśród ludu, nie były bezpodstawne. Taki sam ganek miał również łączyć Hofburg z Kahlenbergiem.

Napady na dzieci. W Berlinie mnożą się z dniem każdym napady na drobne dzieci. Dotychczas złoczyńcy zaczepiali swoje ofiary wieczorem, obecnie czynią to w jasny dzień, na najruchliwszych ulicach. Onegdaj dorosły mężczyzna poranił nożem siedmioletniego chłopca, gdy ten nie chciał słuchać rozkazu i wejść z nim do sieni. Są to wszystko skutki nauk, jakiemi darzą ludzkość socyaliści i inni bezbożnicy.

Niedorzeczny zakład zrobił pewien stolarz w Monachium. Założył się w karczmie, iż w przeciągu 25 minut zje 70 jaj. Kazał następnie owe jaja ugotować na twardo, obłupać skorupę, drobno posiekać i bez mąki i masła zrobić z tego placek, który zjadł w 22 minutach, a więc jeszcze prędzej, jak się zobowiązał. Przeciwnicy jego zrobili naturalnie wielkie oczy i nie chcieli się na to zgodzić. Powstała stąd wielka kłótnia i bijatyka, podczas której owego nowomodnego sowizdrzała zbito na kwaśne jabłko, a nawet ciężko poraniono. Głupota bywa zawsze początkiem wszystkiego złego.

Szalony dezerter. W jednem z mniejszych miast niemieckich zdarzył się niedawno okropny wypadek. Pewien żołnierz, bawiąc się bardzo wesoło i pijąc po karczmach, przedłużył sobie urlop o dwa dni. Zamiast po wytrzeźwieniu wrócić do koszar, przyznać się do winy i zyskać przez to mniejszą karę, widocznie w podnieceniu wódką wpadł na szaloną myśl. Oto cichaczem zakradł się do koszar, porwał karabin i paczkę naboi i pędząc co tchu, tylną bramą wybiegł na ulicę. Gnał dalej, jak waryat, aż za miasto i zatrzymał się dopiero koło cmentarza, sądząc, że tam będzie bezpieczny. Zachowanie się jego w koszarach zwróciło uwagę, poznano, że to ten właśnie żołnierz, którego od dwóch dni brakowało, natychmiast więc oddział złożony z dwudziestu ludzi, pod komendą oficera, wyruszył szukać zbiega. Znaleźli go dość łatwo idącego z nabitą strzelbą koło poblizkiego cmentarza.



Gdy na wezwanie oficera nie chciał się poddać i złożyć broni, zaczęła się mordercza strzelanina. — Dezerter strzelał jak opętany, dwóch żołnierzy zabił, pięciu zranił, a widząc, że naboje się już kończą, sam sobie palnął w łeb. Obrazek nasz przedstawia tę zaciętą walkę pod cmentarzem. Żeby nie wódka, nie byłoby nieszczęścia, nie zginęłoby bez powodu trzech ludzi, osierocając swych najbliższych. Ale człowiek po wódce nie wie co robi. I u nas, niestety, iluż zabójstw i nieszczęść tylko wódka jest przyczyną!

Rozpaczliwy czyn matki. Włościanka Loos z Norymbergi, licząca 34 lat życia, skazana na sto koron kary za fałszowanie mleka, rzuciła się z rozpaczy, razem z dwojgiem dzieci, do wezbranej rzeki Pegnitz. Wszyscy troje utonęli.

Wynalazek telegraficzny. Dzienniki berlińskie donoszą o nowym wynalazku na polu telegrafowania bez drutu. Mianowicie telegrafowanie ma się odbywać przez ziemię. Wynalazek ten umożliwi kopalniom podziemne porozumiewanie się z sobą. Jeżeli wynalazek ten okaże się prawdziwym, będzie on wielką pomocą przy katastrofach wydarzających się tak często w kopalniach, w celu ratowaniu zasypanych, o ile będą przy życiu.

Bitka w sali sądowej. Pięciu złodziei i włamywaczy przez dłuższy czas utrzymywało z sobą złodziejską spółkę i przyjaźń, okradali sklepy i mieszkania prywatne w Pradze i okolicy, pieniądzmi i zrabowanemi rzeczami dzielili się zgodnie — lecz do czasu dzban wodę nosi. I naszym więc złodziejom przyszło na koniec. Dostali się w Pradze do więzienia i po parotygodniowem śledztwie przyszło do rozprawy głównej. Dużo było tych kradzieży i łotrostw zjednoczonej piątki, trwała więc rozprawa przez dzień cały, a wyrok zapadł o godz. 10 wieczorem. W ciągu przesłuchiwań wszakże jeden z pięciu nie wykłamywał się i nie mydlił oczu sądowi, lecz mówił prawdę, przez co, rzecz prosta, zeznaniami swemi wielce obciążał towarzyszy. Wyrok wypadł na nich surowo: dostali po 4, 3 i 2 lata więzienia, podczas gdy ów mówiący prawdę otrzymał mniejszą karę.



Czy zdołali się przed odczytaniem wyroku namówić, czy jednaka żądza zemsty ich ogarnęła, dość, że, gdy przewodniczący obwieścił im ilość lat, na które zostali zasądzeni, rzucili się z szalonym impetem, nim strażnicy więzienni się spostrzegli, na kompana, co źle dla nich zeznawał. Jeden palnął go pięścią w twarz, drugi zadał cios w głowę, inny zaczął kopać, tak że biedak padł na ziemię, zalany krwią. W sądzie zrobiło się zamieszanie i gwałt, zaczęto rzucać się ku wyjściu, to nawoływać straży, a nasi sprytni ptaszkowie, korzystając z tego, dalejże w nogi. Lecz nie zdołali uciec dalej jak na kurytarz, gdzie nadbiegający strażnicy pałaszami drogę im zagrodzili. Koniec awantury i bójki był taki, że wszyscy czterej, zakuci w kajdany, poszli do ciemnicy i będą mieć nową rozprawę o zbrodnię gwałtu publicznego i znieważenie straży, a że surowy dostaną wyrok, to więcej jak pewna. Obrazek nasz przedstawia całą tę bitkę i zamieszanie w sali sądowej, spowodowaną doraźną zemstą czterech zbrodniarzy na towarzyszu, który pada na ziemię uderzony pięścią w głowę.

Złodziej w pułapce. W jednej z węgierskich wiosek zdarzył się w tych dniach wypadek, który możnaby nazwać tragedyą złodzieja.

Złodziej ów wybrał się nocą na połów, a miał już w jednej z włościańskich zagród upatrzonego wieprza. Zakradłszy się więc do chlewa, tęgiem pchnięciem noża zakłuł śpiącego bezroga i zarzuciwszy tłustego nieboszczyka na plecy, dwa końce mocnego powroza związał umiejętnie pod szyją. Następnie z tym potężnym ciężarem zaczął się gramolić przez wysoki płot zagrody. Niestety, zadanie było trudniejsze, niż się wydawało złodziejowi. Wprawdzie on sam zdołał przedostać się na drugą stronę płotu, ale ociężały kadłub wieprza zwisał po przeciwnej stronie całą wagą paru cetnarów. A na domiar nieszczęścia złodzieja, krępujący jego szyję powróz, pod wpływem nieznośnego ciężaru zaczął straszliwie cisnąć i dusić. Złodziej, widząc, że to nie przelewki, rozpaczliwie jął się szamotać, a wreszcie, czując że traci dech, uderzył w krzyk i głośno wzywał ratunku. Ze wszystkich stron powypadali ludzie z latarkami, ale zanim rozpatrzyli się w ciemności, zanim dobiegli do płotu i zmiarkowali co się dzieje, nieszczęsny złodziej wyzionął już ducha, uduszony twardym splotem powroza. Oto Bóg na miejscu ukarał złodzieja.

Sędziwi nowożeńcy. Jak donoszą gazety angieskie odbył się ślub Allana Grege, który połączył się węzłem małżeńskim z towarzyszką długich, od lat prowadzonych stale codziennie w przytułku pogadanek, panną Esterą Wolman. Pan młody liczy 96 lat, oblubienica 81. Kiedy świeżo poślubiona para opuszczała w automobilu kościół, zebrana tłumnie publiczność powitała ich okrzykami. — Para ta ma więc obecnie 177 lat. Bagatela!

Bandyci w Ameryce południowej. Nie jest bezpiecznie podróżować po krajach Ameryki południowej. Milami całemi rozciągają się tam jeszcze puste lasy, gęste i trudne do przebycia a życie człowieka często zależy tylko od przypadku, czy uda mu się nie natrafić na swej drodze na bandytę, który bez miłosierdzia podróżnego morduje, a potem zabiera pieniądze. Agent pewnej hamburskiej firmy, Niemiec, miał przed paru tygodniami w Boliwii, w Ameryce południowej, krwawą rozprawę z bandytami. Wiózł on znaczną sumę pieniędzy do jednego z większych miast, a dla bezpieczeństwa jechało z nim dziewięciu uzbrojonych Niemców. W drodze przyłączyli się do nich dwaj Anglicy, którzy się przedstawili również jako agenci, podróżujący w interesach handlowych po Boliwii. Nie byli te jednak agenci, lecz zbóje, którzy dowiedzieli się, że ci Niemcy wiozą grube pieniądze. Śmiało do rzeczy się wzięli, bo tamtych było 10. ich zaś tylko dwóch. Gdy po dwóch dniach wspólnej konnej podróży upewnili się, przy kim pieniądze się znajdują, zdołali go podczas ożywionej rozmowy odłączyć o znaczny kawałek drogi od towarzyszy i gdy sądzili, że już można brać się do dzieła, jeden niespodzianie strzelił z boku do agenta i ciężko go zranił.



Obrazek nasz przedstawia właśnie tę chwilę. Nie obliczyli jednak, że towarzyszom agenta wyda się to wyrychlenie się naprzód podejrzanem. To też zachłanność i żądza pieniędzy łotrów zgubiła. Właśnie gdy padł strzał, dwóch Niemców dopędziło rabusiów i odrazu wywiązała się zacięta walka. Strzelano z obu stron zawzięcie. Jeden Niemiec padł trupem, ale i jeden bandyta także martwy zwalił się z konia. Drugi chciał celnym strzałem powalić pozostałego Niemca, lecz nim wypalił, ugodzony z tyłu w plecy przez jednego z nadbiegających z pomocą, sam śmierć poniósł. Agenta ocucono, opatrzono mu ranę i całe towarzystwo, nie straciwszy wiezionej z sobą sumy, dojechało już szczęśliwie do celu podróży. Obaj zbóje zginęli marnie, nie zdoławszy zrabować pieniędzy, na które mieli taką chrapkę.

Niezwykła operacya. Dzięki niezwykłej operacyi udało się lekarzom paryskim uratować w tych dniach życie samobójczyni, znajdującej się, jak sądzono powszechnie, w stanie beznadziejnym. Pewna młoda dziewczyna strzeliła sobie w głowę z rewolweru tak, że kula, wszedłszy w czaszkę przez prawą skroń, przebiła mózg i wyszła z lewej strony czaszki. Ranioną przewieziono do szpitala, gdzie lekarz obnażył mózg, oczyścił kanał utworzony przez kulę i zatamował wylew krwi do masy mózgowej. Po godzinie operowana obudziła się z uśpienia i odzyskała całkiem przytomność i mowę. Tylko o samym fakcie zamachu samobójczego straciła pamięć zupełnie. Zapewne odniechce się jej drugi raz strzelać do siebie.

Morderstwo na okręcie. Na parowcu niemieckim »Koriola«, który przybył z portu argentyńskiego Bahia Blanka do Dunkierki, wyszedł na brzeg o godz 3 nad ranem dnia 27 lutego jeden z podróżnych, młody Niemiec Reinhold Tuetz, oświadczając marynarzowi, pełniącemu straż nocną na okręcie, że musi zdążyć na pociąg, opuszczający Dunkierkę o godzinie 4 zrana. Z nastaniem dnia zauważono w pobliżu kajuty, zajmowanej przez Tuetza i drugiego Niemca, Wilhelma Schutza, ślady krwi, wiodące do ustępu, tam zaś znaleziono zwłoki Schutza z przerzniętem brzytwą gardłem. Bliższe oględziny zwłok, jak również rzeczy zamordowanego wykazały, że Schutza ograbiono z całej gotówki oraz dokumentów. Policya rozesłała listy gończe za domniemanym mordercą Tuetzem.

Jak bawią się milionerzy? Pięćdziesięciu milionerów amerykańskich wynajęło, jak donoszą z Londynu, największy z istniejących okrętów, świeżo ukończony parowiec »Olimpe«, aby przewiózł ich z rodzinami z Nowego Jorku do Anglii na uroczystości koronacyjne. Zabawka ta kosztować ma milionerów 2 miliony 736 tysięcy kor. Ładna zabawka!

Ślepy i milionerka. W Ottawie, w Kanadzie, odbyły się zaręczyny niejakiego Mulloya z panną Munroe, milionerką amerykańską. Mulloy, zaciągnąwszy się jako ochotnik do wojska podczas wojny burskiej w Afryce południowej, odznaczył się tam niezwykłem męstwem, wkońcu jednak, skutkiem postrzału w głowę, ociemniał. Z tego powodu otrzymał w Kanadzie przydomek »Ociemniałego kawalerzysty«. Panna Munroe, córka milionera chikagoskiego, przybywszy niedawno do Ottawy, poznała tam ociemniałego żołnierza, żyjącego obecnie z niewielkiej pensyjki i tak się w nim zakochała, że sama ofiarowała mu swoją rękę, pomimo jego kalectwa. Biedny Mulloy wolałby jednak z pewnością wzrok aniżeli miliony narzeczonej.

Powietrzem nad ocean. Inżynier amerykański, Irwing Twombly, zamierza dokonać lotu z Ameryki do Europy w sposób oryginalny, mianowicie z przestankami. W tym celu ma być ustawionych wzdłuż drogi kilka parowców, zaopatrzonych w platformy dla lądowania aeroplanu, aby Twembly mógł lądować, odpoczywać i zaopatrzyć się w benzynę. W ten sposób, odbywając podróż z parowca na parowiec, Twombly spodziewa się przebyć ocean Atlantycki na aeroplanie. Będzie to jednak zabawka bardzo kosztowna.

„Duch“ grający na fortepianie. W Nowym Jorku, w pewnej wspaniałej kamienicy, zdarzył się niedawno osobliwy przypadek. Zajmujący obszerne, złożone z kilku pokoi mieszkanie państwo Harton pewnego razu po przedstawieniu w teatrze, powrócili do domu po północy. Już w sypialni mieli udać się na spoczynek, gdy z salonu dosłyszeli dźwięki fortepianu. Przerażenie ogarnęło małżonków.

— Słyszałeś? — pyta, blada jak płótno, pani Harton.

— Słyszałem — mówi drżącym głosem pan Harton.

— O, znowu gra! Jezus Marya! co to może być? Przecie nikogo w mieszkaniu niema. Służba śpi na drugiej stronie. Złodziej być nie może, boby cicho się sprawiał, nie tykał fortepianu. Boję się tam zajrzeć... Może to duch?

— Ależ, dziecinna jesteś! Co ci też do głowy przychodzi. Ja zajrzę zaraz.

— Miałbyś odwagę?

— Zajrzę, nie boję się! — rzekł śmiało pan Harton. Ale się nie spieszył. Siadł na krześle i jeszcze nasłuchiwał. Znowu ozwało się brzdąkanie po klawiszach.

Nareszcie zdecydował się. Postąpił na palcach do drzwi, uchylił je ostrożnie — patrzy... Księżyc oświetlał pokój i białą smugą kładł się na fortepianie. Żywej duszy nie było. Wtem — znowu zagrało. Odskoczył i zaklął. Cóż u stu dyabłów gra na naszym fortepianie! Czary, duchy, czy co u licha!

— Ach, pewnie duch! — wyszeptała blada i drżąca małżonka.

— Trzeba to wyjaśnić! — Zdecydował się energicznie pan. To rzekłszy wybiegł do kuchni, za nim przerażona żona. Zbudzili pokojówkę, kucharkę. Dziewczyny się zrazu przelękły, ale dodawszy sobie wzajem odwagi, postanowiły wezwać pomocy władzy. Niech policya zbada, co to gra właściwie. Wybiegły na ulicę i sprowadziły dwóch policyantów. Ci odważnie, z gęstemi minami, wkroczyli do salonu z nabitymi rewolwerami w rękach, lecz ledwo weszli, coś palnęło w kilkanaście klawiszy, jeden po drugim. Gwałtu! A nikogo przy fortepianie niema.



Obrazek nasz przedstawia, jak w pierwszej chwili obaj policyanci przykucnęli ze strachu, lecz widma, które gra na fortepianie, wcale tam nie było! Zdawało się tylko wszystkim, że ręce jakiegoś kościotrupa uderzają w klawisze. Nareszcie powstali, bo już i wstyd im było tej trwogi. W salonie zaświecono, nikogo niema, okna pozamykane, więc kogo się bać? Honor amerykańskiego policyanta na to nie pozwala! Jeden z nich zbliżył się naraz do fortepianu, energicznym ruchem podniósł wieko, przykrywające klawisze i jak się nie zacznie śmiać na cały głos.

— Ha, ha, ha! A to duch o czterech nogach, z ogonem! Ha, ha, ha!

Lecz pani i obie służące, jak na komendę, wrzasnęły przeraźliwie i w oka mgnieniu powyskakiwały na stołki z krzykiem: mysz! mysz! Jakoż była to mysz, która dostała się pod wieko fortepianu. Ona to nabawiła takiego strachu państwa Harton i na nią sprowadzono z ulicy aż dwóch policyantów z nabitą bronią! Śmiechu potem z tego było co niemiara.

Czarna lichwiarka. W nrze 6 naszej gazetki pisaliśmy w kronice o czarnej lichwiarce, nazwiskiem Magda Johnston, która żyje w murzyńskiej dzielnicy Nowego Jorku w Ameryce i pożycza na grube procenty pieniądze, ale tylko murzynom. Białych nienawidzi i żaden też od niej nie zdołał nigdy ani dolara pożyczyć. Lichwiarka ta jest już kobietą starszą, obecnie wdową i żyła dotąd w osamotnieniu. Teraz gazety amerykańskie donoszą zabawną historyę o starej murzynce. Znalazł się wreszcie Amerykanin, człowiek młody, kelner z pewnej restauracyi, który gdy się do niej zapędził, nietylko że nie został odrazu za drzwi wyrzucony, podobnie jak inni biali, lecz uzyskał posłuchanie, murzynka pożyczyła mu na weksel 25 dolarów, przyrzekła dalszą pożyczkę w razie, gdyby pieniędzy jeszcze potrzebował i prosiła, aby ją czasem odwiedzał.



Sprytny kelner był potem u niej parę razy, a zauważywszy, że stara robi do niego słodkie oczy, zaczął jej prawić czułe androny, babina uwierzyła i dała się znowu naciągnąć na 25 dolarów, tym razem już bez weksla. Zdaje się, że sprawdziło się tutaj przysłowie »w starym piecu dyabeł pali« i czarna zakochała się w swym dłużniku, a ten z pewnością zanim drapnie gdzieś w świat, oskubie ją porządnie ze zdobytych lichwą pieniędzy.

Głód w Marokko. W Marokko, w Afryce, panuje głód. Zgłodniała ludność zbiera resztki sił i ciągnie do miast, przynosząc tyfus głodowy. Biedaków tych nie wpuszczają do miasta.

Rzeź Europejczyków. Z Kingston na Jamajce donoszą: Murzyni na wyspie Haiti dopuszczają się strasznych okrucieństw i mordów na Europejczykach. Konsulat niemiecki w Port au Prince jest jedynem schroniskiem dla mieszkańców europejskich. Wiele rodzin zostało przez murzynów wymordowanych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Piotr Kędzierski w P.: Owszem, wszystko wliczamy do konkursu. Utwory Pańskie są zupełnie dobre i chętnie je drukujemy. Rzeczy poważniejsze są nam również pożądane i bardzo o nie prosimy. Co do życzenia — zdaje się, że zostanie spełnione, chociaż trudno naprzód to przewidzieć. — Władysław Wojtonik w C.: Ogłoszeń bezpłatnie nie umieszczamy, na tem miejscu możemy tylko udzielać wskazówek na życzenia naszych Czytelników. Otóż zawiadamiamy, że innej firmy, jak ta o której Pan pisze we Lwowie nie znamy. Michał Sekuła w O.: Kiedy »Rola« dochodzi, to niech adres zostanie — jedna litera przecież nic nie znaczy. — Jędrzej Czarnik w Rz. N.: Z wszystkich utworów nadsyłanych nam jesteśmy kontenci, chociaż wszystko naraz wydrukować trudno. Prosimy tylko bardzo o pisanie po jednej stronie papieru. — Jan Kubala w S.: Marki przyjmujemy również, byle nie były wcale używane. Zwracamy uwagę, że listy z markami często giną w drodze. — St. Winkowski w P.: Opowiadanie p. t. »Niewdzięczny syn« otrzymaliśmy i umieścimy. — Emil Nierychel w Z.: W nadesłanej pracy język polski okropnie pomieszany z czeskim; trzebaby więc zupełnie przerabiać a obecnie brak nam na to czasu. — Józef Kapuściński: Legendy zupełnie dobre, wiersze również. A możeby lepiej było podpisywać całem nazwiskiem — przecież to tylko zaszczyt? — K. B. z R.: Wierszyków do Maćka mamy tak wielką liczbę, że, chcąc je wszystkie wydrukować, musielibyśmy przeznaczyć na to »Rolę« przez cały rok i tylko same owe wiersze drukować. — Władysław Wołowiec w S.: Zadań konikowych nie umieszczamy, gdyż nie wszyscy nasi Czytelnicy umią grać w szachy. Wierszyk do Maćka udatny i wesoły. — Józef Kobylański w L.: Budowa pierwszej zwrotki nadesłanego wierszyka jest zupełnie inna od dalszych, a tego trzeba unikać. — Józef Więcek w S.: Owszem, dajemy, ale tylko to, co prawdziwe, podczas gdy gazetka wspomniana przez Pana odbija wiadomości nawet niesprawdzone z innej codziennej gazety, byle numer zapchać. — Józef Jurczyk w Z.: Udatne rysunki, jak również fotografie są nam bardzo pożądane i chętnie je umieszczać będziemy. — A. Wiszniewski w W.: Ostatni numer został nam zwrócony — dlaczego? — Ks. Jan Bieroński w W.: Dziękujemy. — Karol Żyła w F.: Kronika w numerze — arytmogryf będzie później. — J. i W. Trębacze w K.: Za prenumeratora i życzenia pani starościny dziękujemy. Wawrzyniec Pietrucha w Rz.: Wiersze otrzymaliśmy — dobre. — Michał Mikoś w H.: Powiastkę otrzymaliśmy, ale zbyt długa do »Roli« — może w kalendarzu zamieścimy. — Józef Kobylański w L.: Daj Boże, aby życzenia Pańskie spełniły się — dziękujemy. — Feliks Szewczyk w R.: Można nadsyłać wszystko, tak wiersze jak i powiastki i wszystko wliczamy na konkurs. W losowaniu nagród za rozwiązanie zagadek biorą ci tylko udział, którzy wszystkie dobrze rozwiążą. Nadesłany wiersz jest niezły. — Kółko rolnicze Antoniów: A czy książeczka nadeszła? — Chmura Szymon w H.: Utwór i marki otrzymaliśmy. — Józef Turski w Z.: Z artykułów skorzystamy i wliczamy je do konkursów. — Robert Rydz w T.: Dziękujemy za pamięć. Z prac Pańskich żadna nie ujrzy kosza przed wydrukowaniem. — Jan Moś w Cz.: Kronika w numerze — dziękujemy za życzliwość. — Alojzy Czekan w B.: Kronika w numerze, tamta o weselu była zbyt błaha. »Zemsta niedźwiedzicy« nie będzie drukowaną, gdyż nie jest własnego układu, ale przepisana z drukowanego. — Jan Kobylecki w L.: Legenda o św. Krzysztofie jest tylko przepisaną z małemi zmianami — prosimy o własne utwory. — Jan Marmon w P.: W Czernichowie jest tylko średnia szkoła rolnicza. — Maciej Kmieciński w P.: Kalendarzy książkowych już nie mamy. — Jan Mączka w W.: Wierszyki bardzo ładne, ale kto je układał? Jeżeli Pan to prosimy o wytłomaczenie, co to jest »Seta«. — Wojciech Jaworski w C.: I teraz jeszcze na nic. — Jan Pilnik i Franciszek Buła w P.: Szkoda gazetki na rozmazywanie takich brudów, kiedy można się z tem udać do wójta, a gdyby ten złemu nie chciał zaradzić, to do księdza proboszcza. — Ludwik Uryga w Ż.: I na Pańskie przyjdzie kolej. — Józof Pawełek w O.: Prosimy o cierpliwość. Książeczka była wysłana, czyżby nie doszła? — Józef Frączek w P.: Wierszyk Franka z Węglarzówki do Maćka Bzdury bardzo udatny, ale nie pozwalamy Maćkowi zabierać dużo miejsca, bo nam na inne rzeczy potrzebne. Za dobrą radę dziękuje. —

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.:
Pietruszka Stanisław z G. S. (2 K.), Kozieł Jakób z R. (2 K.), Grydyk Paweł z H. (3 K.), Maziarz Wojciech z N. (2 K.), Kryska Józef z B. (4 K.), Manasterski Jakób z D. (3 K.), Jan Kubala z S. (1 K.), Jan Tarnowski z B. (2 K.), Józef Wiśnica z G. (4 K.), Czytelnia w Bachórzu (3 K.), K. Zaborski z O. (2 K.), Hammerowa Marya z S. (4 K.), Głownia Józef z P. (2 K.), Macuga Wincenty z Cz. (2 K., Suchanek Karol z W. G. (2 K.), Mazur Wacław z Ż. (2 K.), Józef Trębacz z K. (2·40 K.), Jan Kieliszek M. sz. (2 K.), Huczek Andrzej z P. O. (1 K.), Antoni Cynarski z R. (3 K). Antoni Gach z O. (2 K), Kółko rolnicze Piasek (3 K.), Ignacy Pelczar z K. (4 K.), Andrzej Jurczak z M. (2 K.), Erazm Faber z W. (2 K.), Jan Mleko z W. B. (1 K.), Filip Pejko z Z. (3 K.), Józef Puchałka z D. (3 K.), Piotr Stadnik z B. M (2 K.). Ignacy Mroczek z Ch. (2 K.), Jan Głowacz z Ż. (1 K.), Jan Obłoj z G. (1 K.), Adolf Śmiga z M. (3 K), Franciszek Maśka z Z. (4·30 K.), Antoni Makowski z R. W. (6 K.), Stesłowicz Dominik z W. (1 K.), Kurnik Wojciech z S. N. (1 K.), Józef Drzyzga z Ż. (1 K.), Marcin Maziarz z C. (3 K.), Kółko roln. Frydrychowice (5 K.), Michał Chłoń z O. (1 K.), Apolonia Zborowska z Ł. (1 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 28 marca:

Buhaje	Kor.	80	do	200	za	sztukę
Woły	„	—	„	—		„
Krowy	„	130	„	216		„
Jałówki	„	100	„	268		„
Cielęta	„	20	„	90		„
Owce i kozy	„	22	„	25		„
Świnie (bita waga)	„	136	„	146	za	50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 28 marca:

Pszenica	Kor.	10·65	do	11·40	za	50 kg.
Żyto	„	7·50	„	7·90		„
Jęczmień	„	8·50	„	10·—		„
Owies	„	8·80	„	9·—		„
Otręby pszenne	„	5·10	„	5·25		„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25		„

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał F. Kowalczyk z K.).

Nazwa krótka wcale!
Używają go kowale,
Gdy go potrzebują
U żydów kupują.
Wspak przeczytane,
W gimnastyce używane

2. SZARADA.

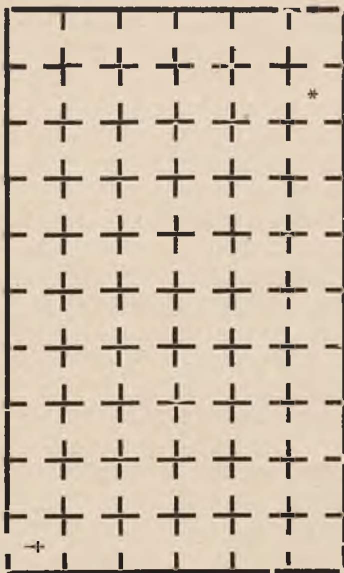
(Nadesłał Ludwik Misiora z B).

Pierwsza jest przyimkiem sobie
I gdy go przed »mąż« postawisz
I połączysz z słowem »poszła«,
Starą pannę Maciuś zbawisz.
Druga z trzecią od »gadania«
Skromny swój początek bierze,
A zaś całe przyznasz szczerze
Potrzebuje rozwiązania.

3. MĘCZYGŁÓWKA.

(Nadesłał Ignacy Warzała z Łęgu).

W więzieniu o sześćdziesięciu celach, jak wskazuje poniższy rysunek, siedział więzień w celi oznaczonej gwiazdką. Drzwi w celach były umieszczone tak, że z każdej celi do wszystkich sąsiednich było wolne przejście. Na wolność prowadziły tylko jedne drzwi z celi oznaczonej krzyżykiem: Więźniowi obiecano wolność pod warunkiem, że przejdzie wszystkie cele, ale w żadnej nie będzie dwa razy. Jak musiał iść ten więzień?



4. ARYTMOGRYF.

(Ułożyła Bolesława Zachariasiewicz z K.).



Spółgłoska.
Ryba.
Miasto w Galicyi.
Część z biżuteryi
Instrument muzyczny.
Poeta polski.
Wyższy urzędnik zasiadający w senacie w dawnej Polsce.
Człowiek sztuki.
Krzemian ozdobny.
Ptak znany.
Spółgłoska.

Litery czytane od 1 do 11 dadzą imię i nazwisko jednego z sławnych poetów polskich.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania:
1) Gawalewicza ***Szkice i obrazki***.
2) ***Mieczysław II.***

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 8 kwietnia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 12 *Roli*: 1. Arytmogryf: **Stalmach**, 2. Zagadka **sęk-kęs**, 3. Szarada: **kolebki**, 4. Łamigłówka: **Jan Sobieski**, 5. Szarada: **Karnawał.**

W oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:
W. Kapuściński z L., W. Cebulski z K.' J. Hirszberg z K., J. Moś z Cz., J. Warzała z Ł. (Wierszem), K. Żyła z F., M. Dudek z Ż., Teper F. z M. K., R. Kula z M. K., A. Kościelny z K. W., F. Żebrok z B., Zieleznik J. z Cz., J. Burghardt z S., P. Gajoch z P., K. Broda z R., A. Wróbel z W., J. Ptaszek z B., M. Synowcówna z S. g., F. Dziadek z W. G., J. Kulka z B. (wierszem), W. Biedroń z P. (wierszem), A. Bezokówna z K. M., Rudolf Grzegorz z T., Kółko roln. Antoniów, J. Śliwiński, W. Rojek z P.

Pierwszą nagrodę p.t. ***Blade kwiaty*** Jantka z Bugaja wylosował p. **Ant. Kościelny** z K. W.; drugą p. t. ***Hrabia i niedźwiedziarz*** p. **Marya Synowcówna** z Ś. G.

Wydawcy Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.